№ 26. Warszawa, dnia 17 (29) Marca 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 75.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

O OSPIE I SZCZEPIENIU.

(*Dokończenie. Ob. Nr. 25*).

Pokrewieństwo jadu ospy krowiéj i ludzkiéj objaśnia nam także względną siłę ochronną krowianki od ospy naturalnéj, to jest tłumaczy nam *wpływ szczepienia*. Doświadczenie przekonywa bowiem, że ospa raz przebyta stanowi względne zabezpieczenie od zapadnięcia powtórnego na tę chorobę; tak samo pewnéj, choć nie bezwzględnéj ochrony dostarcza krowianka zaszczepiona, wywołująca w człowieku zmodyfikowaną postać ospy, ochraniającą do pewnego stopnia od ospy naturalnéj. Na pytanie więc, *w jaki sposób działa szczepienie*, odpowiemy że: szczepienie wprowadza człowieka w stan, w jakim się on znajduje po przebyciu ospy, gdzie jak wiadomo usposobienie do powtórnego zapadnięcia na tę chorobę znacznie jest zmniejszone. Dowodem tego jest, że od czasu wprowadzenia szczepienia w powszechne użycie, wprawdzie i u szczepionych zdarza się ospa, ale znaną jest łagodniejsza postać jéj, t. j. ospica, która przedtém nie istniała; wypadki ospy ciężkiéj są rzadsze u szczepionych niż dawniéj, śmiertelność w ogóle mniejsza.

Pierwiastkowo szczepiono ludziom albo limfę wprost z krów, albo też limfę przeniesioną na nie uprzednio z pryszczy przy chorobie koni odpowiedniéj ospie; — z pryszczy powstałych na pierwszéj osobie szczepionéj zbierano materyę po 8-miu dniach i szczepiono następnym osobom i t. d. Wtedy już przekonano się na mocy doświadczenia, że przy bezpośredniém przeniesieniu materyi ospowéj ze zwierząt na ludzi, szczepienie nie przyjmowało się tak pewnie jak przy szczepieniu z człowieka na człowieka, niemniéj, że w pierwszym razie występowały często silniejsze objawy odczynowe (reakcyjne), aniżeli w drugim. Dla uniknięcia tego, zaczęto szczepić limfę z ludzi na ludzi, to jest *limfę humanizowaną*, czyli przeniesioną ze zwierząt na ludzi,—i przekonano się, że limfa taka przez liczne generacye zachowuje swe własności, i zarówno (względnie) zabezpiecza od ospy, jak krowianka i jak limfa, którą chciano regenerować przez świeże szczepienie limfą z krów.

Tak krowianka jak i limfa humanizowana mają swoich zwolenników i przeciwników w całym świecie naukowym. We Francyi np. obecnie prawie wyłącznie używają limfy humanizowanéj. I u nas zdania lekarzy są w tym względzie podzielone, gdyż każdy opiera się na własném doświadczeniu; jeden przekłada krowiankę gdy szczepienie mu się dobrze przyjmuje, drugi oddaje pierwszeństwo limfie humanizowanéj. My téj kwestyi spornéj rozstrzygać nie chcemy, pozostawiając ją do dalszych sumiennych i *bezstronnych* badań. (*)

Powodem, że przekładano krowiankę nad limfę humanizowaną, była obawa dawniéj powszechnie panująca, która podziś dzień w publiczności się objawia, że wraz z limfą przeniesione być mogą na osobę szczepioną inne choroby skórne, lub ogólne choroby krwi, skażenia (dyskrazye) jak: skrofuły, krzywica (rachityzm), artrytyzm, gruźlica, przymiot etc. Dziś badacze są w tym względzie prawie zgodni co do zdań, mianowicie że *żadne choroby ogólne nie mogą być przeniesione ze szczepieniem limfy humanizowanéj*, nawet i przymiot (?) jeżeli do szczepienia użytą została czysta limfa bez domieszki krwi. Niezaszczepialność przymiotu z limfą humanizowaną, pozostawiamy jeszcze w zawieszeniu, nie uważając kwestyi téj nadzwyczaj ważnéj, za ostatecznie rozstrzygniętą. Być może, że zwolennicy krowianki nié są dowodnie przekonani o niezaszczepialności chorób ogólnych, i dla tego mniéj ufają limfie humanizowanéj.

Z drugiéj strony, powiada *Niemeyer*, nie ulega wątpliwości, że zdarzają się wypadki gdzie szczepienie u dzieci podkopuje zdrowie, wywołuje wysypki skórne i skrofuliczne cierpienia. Jednakże w tych razach nie skrofuły zostały przeniesione, gdyż limfa ze skrofulicznych nie wywołuje skrofułów, a z drugiéj strony dziecko szczepione dostaje skrofułów, pomimo że dziecko z którego wzięto limfę było zdrowe. Skrofuły (u dzieci z rodziców gruźliczych i t. p.) rozwijające się po szczepieniu, zależą od wpływu osłabiającego, jaki wywiera na dzieci ospa krowia z gorączką przebiegająca, przez samą tę gorączkę,—zaś wysypki skórne zależą od sztucznie wywołanego obrażenia skóry przez zaszczepienie. Inne

---

(*) Głównie może chodzi tu o to, że krowianka ma się trudniéj przyjmować od limfy humanizowanéj. Dla rozstrzygnięcia téj kwestyi trzebaby zbierać statystyczne dane z bardzo licznych szczepień (np. w fabrykach, stałych zakładach szczepienia); tymczasem często osoby zaszczepione nie zgłaszają się z uwiadomieniem o rezultacie. Kolega *Sikorski* udzielił nam wiadomość ze swych obserwacyj, przemawiających za tém, że krowianka przyjmuje się dobrze: u pierwszy raz szczepionych 90 na 100; u rewakcynowanych prawie w połowie (20 na 29, 31 na 65) rewakcynowanych; daléj że przebieg bywa łagodny, bez powikłań; że u pierwszy raz szczepionych krowianka przedstawia typowy charakter, lubo z wyraźniejszą reakcyą miejscową, niż przy szczepieniu z ręki w rękę; odczyn gorączkowy w ogólności umiarkowany. Krowianka przyjmuje się łatwiéj przez nacięcia z lekkiem wtarciem, aniżeli przez podkłucie.

choroby gorączkowe i wszelkie wpływy osłabiające, mogą wywołać skrofuliczne cierpienie tak samo jak zaszczepienie krowianki; podobnież wezykatorye, wszelkie podrażnienia skóry; zdarza się np. że po przekłuciu ucha do kolczyków powstaje niekiedy u dzieci wyprysk na twarzy. Daléj często skrofuły rozwijają się w skutek odstawienia dzieci od piersi, lub przy ząbkowaniu, w których to okresach życia szczepienie nie powinno być dokonywane, (jeżeli np. epidemia ospy nie zmusza koniecznie), a co najważniejsza w skutek tego, że poprzednio w dzieciach istniało *ukryte* usposobienie do skrofułów, które zostały ujawnione, naprzód pchnięte przez zaszczepienie. Statystyka wykazuje, że od czasu szczepienia choroby ogólne zmniejszyły się nawet, i średnia długowieczność ludzi się wzmogła. Później zdarzy nam się może sposobność pomówić o skrofułach i innych chorobach ogólnych, to jeszcze raz pomówimy o téj kwestyi.

Wróćmy jeszcze do szczepienia. Doświadczenie przekonało, że jednorazowe zaszczepienie w dzieciństwie nie chroni na zawsze od ospy, a dziś przekonano się, że *ochrona ta wynosi krótszy czas niż sądzono dawniéj.* Na téj zasadzie wprowadzono w użycie *powtórne szczepienie* (rewakcynacyę), i nabrano przekonania że szczepienie powinno być ponawiane przynajmniéj co 7 do 10 lat, — zaś podczas panującéj epidemii, gdzie bardzo wielu ma usposobienie do ospy lub ospicy, pomimo szczepienia i rewakcynacyi, należy *poddać szczepieniu wszystkich, bez względu kiedy byli szczepieni raz ostatni.* Limfa przy rewakcynacyi przyjmuje się trudniéj aniżeli przy pierwszém szczepieniu. Zaszczepienie w okresie wylęgania ospy, t. j. gdy człowiek już uległ zarażeniu ospą, nie zapobiega rozwojowi choroby.

Szczepienie pierwsze dokonywa się w latach jaknajwcześniejszych, z uwagi że niemowlętom wielkie grozi niebezpieczeństwo od ospy. Szczepienie może być dokonywane na dzieciach 10—14 dni mających, jeżeli zagraża epidemia; gdy nic nie nagli, można tego dokonać nieco późniéj (po 6—8 tygodniach, aż do 2 roku); *unikać* należy szczepienia na dzieciach ząbkujących nieprawidłowo, wątłych, dopiero co odstawionych od piersi, lub po przebyciu jakichkolwiek chorób. Limfa powinna być świeża, albowiem chociaż się zachowuje przez czas długi, to jednak pod wpływem powietrza, światła, silnego ciepła lub zimna i t. p. wpływów, własności jéj słabną lub giną zupełnie. Krowianka zbiera się z cieląt lub jałówek, którym poprzednio się szczepi, zaś limfa humanizowana powinna być zbierana nie z dorosłego a z dziecka pierwszy raz szczepionego, i *dla wszelkiego bezpieczeństwa, zdrowego zupełnie;* dobrze jest gdy lekarz zna rodziców i rodzeństwo dziecka, z którego zbiera limfę, (z pryszczy dobrze rozwiniętych, ósmego dnia po zaszczepieniu). Gdy szczepienie się nie przyjęło, powtarza się je po kilku miesiącach. Pora roku ani stan powietrza nie mają żadnego wpływu na szczepienie; a chociaż raz szczepienie się przyjmuje, drugi raz nie, to przyczyny tego są niewiadome, podobnie jak przyczyny złośliwości lub łagodności epidemij ospy. Miejsce szczepienia może być gdziekolwiek wybrane, zwykle jednak szczepi się na miejscach pokrytych odzieżą. Zazwyczaj robi się kilka nakłuć, aby się przynajmniéj jedno przyjęło. Sposoby szczepienia pomijamy; chodzi tu głównie o wprowadzenie limfy pod naskórek, zkąd ona ulega wessaniu (resorbuje się). Nieodpowiednio dokonane szczepienie może być powodem nieprzyjęcia się ospy i osłabić zaufanie czy to do krowianki czy do limfy humanizowanéj.

Zmiany wywołane miejscowo przez zaszczepienie są analogiczne z pryszczem ospowym. Dnia 3go powstaje guziczek, 5.—6. pęcherzyk, otaczający się późniéj obwódką czerwoną; zawartość pęcherzyka staje się mętną, a 10go dnia ropiastą. Później pryszcz zasycha, nie pękając zwykle jeżeli nie będzie zdrapany. W końcu 3-go tygodnia strup odpada, pozostawiając bliznę wyraźną, białą, promienistą. Zdarzają się liczne odmiany co do czasu i jakości rozwoju pryszcza, pomijając nieprzyjęcie się. Bywają też rozmaite powikłania, obrzmienie gruczołów limfatycznych pod pachą, wrzodzianki, róża, owrzodzenie, etc. Niekiedy powstaje na kończynie i na ciele wysypka guziczkowata.

Objawy po zaszczepieniu są: ból, utrudnienie ruchów kończyny, oraz gorączka (gorączka ropienia) która jednak zagraża tylko wątłym dzieciom. Dzieci są rozdrażnione, niespokojne; rzadko objawy są groźniejsze. Później następuje swędzenie. Leczenie jest niepotrzebne. Dyeta może pozostać zwykłą, jeżeli była właściwą; podczas gorączki należy dziecko zatrzymać w domu, niemowlęta mniéj przystawiać do piersi, karmionym sztucznie dodać nieco wody do mleka; starsze dzieci poprzestać mogą na wodziance i napoju. Pokój, odzież, łóżko, nie powinny być zbyt ciepłe. Przestrzegać też należy tarcia i drapania.

Co do *leczenia* ospy i ospicy, to ono należy do lekarza, który jednak co prawda nic więcéj poradzić nie może, nad kojenie dolegliwych objawów i łagodzenie powikłań o ile się da. Środków specyficznych na ospę nie ma; nawet powstawaniu blizn, pomimo mnóztwa zaleconych środków, nie jesteśmy wstanie przeszkodzić. Ważnemi momentami są: odosobnienie chorego i osób pielęgnujących go; przewietrzanie pokoju i temperatura 14° R., oraz odwietrzanie (dezinfekcya). Wiedzieć należy, że nawet przedmioty będące w zetknięciu z chorym mogą przenosić chorobę. U dzieci staramy się przeszkodzić drapaniu przez nałożenie rękawiczek bez palców, (nie zapominając o obcięciu paznogci). Nawet po ukończeniu choroby należy pozostawić rekonwalescentów w odosobnieniu; żywienie powinno być w tym czasie pożywne, z uwagi na znaczną utratę soków przez ropienie i wyniszczenie silną gorączką.

Jak z jednéj strony straszną jest choroba, w któréj opisie może byliśmy zbyt rozwlekli, tak z drugiéj zbawiennym okazał się wpływ szczepienia, do którego naglimy i zachęcamy wszystkich. W zeszłém stuleciu w Europie $^1/_{10}$ ludzi umierała rocznie na ospę, druga $^1/_{10}$ wynosiła z niéj szpetne blizny; obecnie dzięki szczepieniu śmiertelność jest mniejsza, epidemie mniéj zabójcze, wypadki lżejsze bardziéj częste.

Dla tych, którzy powątpiewają o skuteczności szczepienia, dodamy kilka cyfr ze sprawozdania szpitala ospowatych w Londynie za rok 1870. Śmiertelność na ospę wynosiła tam:

	u s z c z e p i o n y c h:					
w roku	1863	1864	1865	1866	1867	1868.
	12,0	8,7	7,4	7,3	8,29	6,2
	u n i e s z c z e p i o n y c h:					
w roku	1863	1864	1865	1866	1867	1868.
	48,0	36,0	38,0	35,7	36,3	34,0

Cyfry te same za sobą przemawiają.

Dr. W. Mayzel.

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 25.)

— A! nic! nic... lecz dla mnie idzie o życie lub śmierć... Znasz ten łańcuch z granatów, który jéj dałem przybywszy? Jam go ukradł u żony... muszę go odzyskać, lub gorzéj będę niż złodziejem... Na tym łańcuchu wisi życie moje? Jak go odzyskać? jak? mów!

Fifina patrzała mu w oczy prawie przelękła gwałtownością z jaką to mówił. Piętka przykląkł przed nią:

— Poradź mi! pomóż mi.

Dziewczę oczy sobie zakryło dłońmi... zamyślone.

— Jak go odzyskać? Duparc przywiązuje cenę do niego. Jest starożytny i piękny. Sam król widząc go na niéj pochwalił—nie pozbędzie go tak łatwo!!

— Na coby go zamieniła? mów! pomyśl wołał Zygmunt—czego ona teraz chce? o czém marzy? Duparc ma fantazye, ma dziwactwa. Rzuca to dziś za czém wczoraj przepadała...

Fifina wstała i zaczęła się zadumana przechadzać po gabinecie.

— Nic nie wiem! nic mi na myśl nie przychodzi... czekajmy jéj! może się zręczność nadarzy... ja z serca pomogę...

To mówiąc wymknęła się szybko, dając znak Zygmuntowi, aby na miejscu pozostał. Posłyszała ona wprzód od niego że Flemming żegnał się czule i wychodził...

Przezedrzwi gabinetu dochodziły wyrazy, któremi Duparc tłómaczyła mu się, że potrzebuje wczesnego spoczynku.

— Nie uwierzysz... głowa... straszliwie boli mnie głowa... muszę się położyć... bo jutro całych sił mych teatr wymaga... To *pas*, które tańcuję tak trudne...

Szept młodego chłopca, śmiech, potém jeszcze słów kilka urwanych, i Fleming zaczął schodzić na dół... Brama otworzyła się i zamknęła za nim... Dopiero gdy był już na ulicy, Duparc zapukała do drzwi gabinetu...

— Wyjdźże nieszczęśliwy więźniu!—zawołała ze śmiechem—*nous allons souper.* W téjże chwili zjawiła się Fifina... a za nią szedł Laroche, domowy przyjaciel panny Duparc, który zwykle za brata jéj uchodził. Do wieczerzy zawczasu było gotowe wszystko... Zygmunt wychodząc z kryjówki, musiał znów udawać wesołość.

Gdy go Laroche przy świetle zobaczył, przeląkł się.

— Cóż to jest! zawołał... tobie nie na wieczerzę iść, ale do łóżka potrzeba!.. Musieli ci dobrze krwi utoczyć.

— A, jesteś niegrzeczny jak zwierciadło! przerwał mu Zygmunt.—To właśnie powód, dla którego ja teraz przez cały dzień jeść i pić muszę...

Duparc zaczęła się trzpiotać około niego, przyspieszając wieczerzę. Niekiedy nań spoglądała ukradkiem i zdawała się przerażona widokiem tego trupa mającego zasiąść do wieczerzy.

Zasiedli wszyscy... rozmowa ożywiać się zaczęła... Piętka choć mu lekarz zakazał trunku, nalał sobie szklankę wina, potrzebował przytomności, dowcipu, siły, któréj nie czuł w sobie... Duparc piła, ażeby się nie lękać współbiesiadnika.

Laroche pił bo bardzo wino lubił... Fifina nie tykała inaczéj szklanki jak na pół zmieszawszy z wodą.

Podano bażanta, którego Flemming przysłał z rana.

— Zjemy tego Flemminga! zaśmiała się Fifina, spoglądając znacząco na Duparc...

— Dla czego ty to mówisz w liczbie mnogiéj?— przerwała gospodyni—mnie się zdaje, że ja mu podołam sama.

— A! pieczonemu! może! ale żywemu? któż to wie? Wiesz Duparc... takich młodziuchnych bażantów ty nie umiesz jakoś przyswoić...

— A! czyś ty zręczniejsza odemnie?

— Kto to wie?

Nie zważano wcale na Zygmunta, o którym obie panie wiedziały, że się nie formalizował.

— Żartujesz Fifino — mówiła Duparc popatrzawszy na nią—młodzik za mną szaleje!

— Za tobą! doskonale! i rozśmiała się Fifina— a gdybym ja ośmieliła się utrzymywać toż samo?

— Tobyś kłamała, kochana Fifino..

Dziewczę ramiona białe podniosło...

— A gdybym miała—dowody!

Duparc zerwała się rozpłomieniona, odsuwając krzesło.

— Ty mnie chcesz do passyi przyprowadzić twemi żartami.

— Cicho! cicho... schwyciwszy ją za rękę poczęła Fifina—mówię to przez życzliwość dla ciebie... a zatém cierpliwości, i pomówmy na seryo.

Laroche, który rozmawiał z Piętką, wtrącił się do rozmowy.

— Fifina dziś do poznania się emancypowała...

— Na każdego przychodzi godzina... odparło dziewczę... No, pijmy! jedzmy...... a ja wam powiem bajkę o bażancie...

Wszystkich oczy obróciły się na nią.

— Duparc, — nie prawdaż? —przysięgłaby, że młody Flemming za nią przepada... a przecież... ja go jednem palca skinieniem odebrać jéj mogę..

To mówiąc schyliła się do ucha zaczerwienionéj z gniewu i zdziwienia, poczęła coś szeptać śmiejąc się, dobyła z za gorsu karteczkę, przesunęła ją przed jéj oczyma, i klaskając w ręce wróciła na swe miejsce...

Duparc była rozpromieniona... Laroche przysłuchiwał się ciekawie usiłując odgadnąć o co chodziło... Piętka śledził każdy ruch Fifiny i słowo, przeczuwając, że ona może coś na jego korzyść uczynić.

— A cóż? a cóż? poczęło dziewczę—nie prawdaż, że pani moja w srogiém niebezpieczeństwie? Otóż tak—dodała podpierając się pod boki—jestem wspaniałomyślna—co mi dasz—a zrzekę się go dla ciebie... Oddam ci całego—*pieds et poings liés*... Co mi dasz?

— Sprzedasz mi go? zapytała Duparc.

— Może—albo przehandluję...

— Co chcesz za niego? zawołała stara tancerka... no? targujmy się?

— Mogłoby to być... doprawdy bardzo drogo! odparła Fifina.—Sama uważaj, taki młody, taki głuptasek, co to z niego wyciągnąć można?

— Nigdym nie sądził—rzekł Laroche dolewając wina sobie i Zygmuntowi — żeby ta Fifina taka była mądra...

— Widzisz! rozśmiało się dziewczę...

— Mów co chcesz? powtórzyła Duparc...

— Powiadam ci mogłabym zażądać bardzo wiele... Naprzykład serwisu porcellanowego, który masz od króla... srébra, ktore ci młody Brühl darował.

— A! bezwstydna doprawdy!

— Tak, mogłabym nawet żądać obojga... i tegoby nie było za wiele... ty mu piękniejszych piórek uskubiesz, temu bażantowi złotemu! Babka ich dostarczy... ale ja—mam fantazye—dam ci go taniéj.

— Za co? za co? spytała Duparc.

— Głośno powiedzieć nie mogę — poczęła Fifina.

— Mów na ucho...

Dziewczę pochyliło się ku niéj, a okiem pobiegło ku Zygmuntowi, jakby mu chciało dać znać, że się jego sprawa toczy. Duparc rozśmiała się i ruszyła ramionami. *(d. c. n.)*

PRZEZ TATRY.

Opis wycieczki odbytéj w Lipcu 1871 roku.

TEKST I ILLUSTRACYE

Antoniego Zaleskiego.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 25).

Ruszamy tedy — owo pół godziny wydaje się nam dobrą godziną, bo i zmęczeni jesteśmy, i ciemno, a do tego las, w którym nogi utykają na korzeniach drzew, a głowy nieraz się z gałęziami w nieprzyjemny sposób spotykają; nadzieja spoczynku i posiłku nóg nam dodaje, maszerujemy raźno choć już prawie po ciemku, nareszcie Wala skręca raptem z drogi w lewo, w kotlinkę mchem zarosłą, wśród rozłożystych świerków, i zrzucając z pleców torbę, komenderuje, „Panowie, proszę na nocleg, oto *hotel*!”

Kilka wypalonych ognisk świadczyło o zwykłém tutaj koczowisku podróżnych. Górale nasi rzuciwszy także juki, biorą się żwawo do toporków, wleką do kupy całe pnie uschłych świerków, i po chwili wesoły ogień bucha w górę. „Nie h żyje hotel Wali!” wykrzykujemy wszyscy. Jedni padają znużeni około ogniska, drudzy zabierają się do toreb z zapasami podróżnemi; domyślić się łatwo, że na apetycie nie zbywało, ale jakaż była wdzięczność dla Wali, gdy ten wydobył z ukrycia jakiś misterny przyrząd blaszany z kilku kubków a raczéj puharów, wchodzących jeden w drugi złożony, i przyrządził nam herbatę, która pozbawionym przez dzień cały ciepłéj strawy, smakowała jak ambrozya niebieska. Istotnie w górach i pod gołém niebem szklanka herbaty więcéj pokrzepia niż wszelkie mięsiwo i mocne napoje, ale żaden z nas nie myślał o zaopatrzeniu się w nią z powodu wielkich przyrządów, których, według nas, wymagała herbata, a któremi nie chcieliśmy się obciążać; lecz Wala jako klassyczny przewodnik umiał te przyrządy sobie uprościć i umiał nas wszystkich do woli utraktować. Dziwny to człowiek ten Wala, pod względem gór tatrzańskich nie zwykłą obdarzony erudycyą i pamięcią, tak co do nazwisk jak co do wysokości miejsc, obszaru, głębokości, a nawet stopnia ciepłoty jezior i źródeł. Ale i oprócz Tatrów, znane mu są góry innych krajów i wysokości najwyższych szczytów Alp, a nawet i Himalai. Wszystkiego tego nauczył się z opowiadania, bo należąc do starszego pokolenia górali, nie umie czytać ani pisać. Więcéj jeszcze zajmowały nas jego gawędy o wszelkich innych przedmiotach, w których podziwialiśmy zdrowy sąd i zacne uczucia, jakieby daj Boże zawsze spotykać u naszego ludu. To też wpływ zacnego starca jest bardzo zbawienny na młodzież górską, która go czci jak ojca. Posiliwszy się i pogawędziwszy u ogniska, owinęliśmy się w płaszcze i szale i zasnęliśmy smaczno na posłaniu ze mchu i poduszkach z posiekanych gałęzi świerkowych. Szczęściem przez tę noc niebo było łaskawe, bo świerki, pod któremiśmy obozowali, jakkolwiek gęste, nie bardzoby nas ochroniły w razie mocnego deszczu.

Przed świtem byliśmy na nogach i pobiegliśmy nad brzeg Morskiego Oka, którego widok przy wschodzącém słońcu jest prawdziwie majestatyczny. W około piętrzą się góry w kształcie amfiteatru, którego dno zajmuje wspaniałe to jezioro, więcéj jak 57 morgów obszaru mające. Po nad niém wyżéj, jakby na piętrze położony jest Czarny Staw, z którego jak srebrna wstęga spada potok do Morskiego Oka; druga podobnaż kaskada wypływająca z pod szczytu zwanego Mnichem, dodaje mu wody. Przy wschodzie słońca wierzchołki otaczające świecą różową barwą, a samo jezioro tonie jeszcze we mgle błękitnawéj. Morskie Oko znajduje się jeszcze w strefie wegetacyjnéj, a raczéj u saméj granicy takowéj, (4,460 stop). Otaczają je limbowe drzewa; wyżéj już wszelka wegetacya, prócz kosodrzewiny, ustaje. Zwane jest inaczéj Rybiém jeziorem, gdyż jest jedyném z tatrzańskich, w którém się ryby znajdują, wychodząca bowiem z Morskiego Oka Białka pomimo bystrości swojéj, nie ma jednak tak stromych wodospadów, żeby łososie i pstrągi nie mogły płynąć w górę, dostać się do jeziora, gdzie łososie, jak powiadają, do olbrzymiéj wielkości dorastają przez rybaków nigdy nie turbowane. Do innych zaś górskich jezior ryba się dostać nie może, z powodu zbyt wyniosłych kaskad i progów.

Nazwa Morskiego Oka pochodzi z ludowéj tradycyi górali, którzy twierdzą, że istnieje podziemna kommunikacya między niém a morzem, i opowiadają legendę o jakimś podróżnym, który straciwszy wielkie skarby przy rozbiciu się okrętu na morzu, w kilka lat późniéj zwiedzając Morskie Oko, ujrzał skrzynię swoją pływającą po tém jeziorze i do utraconych skarbów powrócił. Dawniéj był nad Morskiém Okiem zbudowany przez b. właścicieli Zakopanego pp. Homolaczów domek dla podróżnych i tratwa do pływania po jeziorze; dziś domek przez pasterzy przypadkiem czy na złość spalony, a tratwa zgniła zupełnie.

Głębokość jeziora ma być ogromna i dawniejsze pomiary pokazują więcéj stu sążni w niektórych miejscach. Wybudowanie domku i tratwy lub łodzi byłoby bardzo pożądane dla bliższego zbadania tego pięknego jeziora; bez schronienia bowiem nad jego brzegami, podróżni nie mogą tam dłużéj pozostawać, i przymuszeni są zawsze szybko wracać zkąd przyszli. Pomimo ostrego chłodu na tych wyżynach i w tak rannéj porze, nasz pan O. z największą flegmą się rozebrał i wykąpał się należycie w Morskiém Oku, co przy zaledwie 4 stopniach ciepłoty było prawdziwym heroizmem. Aż nam się zimno robiło od samego patrzania na to, ale bez chęci naśladowania go w użyciu téj przyjemności.

Napatrzywszy się na Morskie Oko, wróciliśmy do *hotelu*, gdzie poczciwy Wala znowu nam zafundował herbatę, i zakąsiwszy trochę puściliśmy się w drogę. Dotychczas przebyliśmy większą połowę drogi od Zakopanego do Szmeksu; na dzisiaj pozostawała nam mniejsza przestrzeń, i mniéj przykre przeprawy. Jedno tylko przejście przez „Polski Grzebień” może śmiało walczyć o lepsze z wczorajszym „Zawrotem”, a wysokość jego nad poziom morza jest nawet o blizko 500 stóp większa. Droga też od Morskiego Oka ku Szmeksowi idzie istotnie rzemiennym dyszlem, trzeba bowiem z początku cofać się nazad na północ wzdłuż brzegów Białki, a dopiero tam gdzie dolina „Białki” łączy się z doliną „Białéj” ostro zwrócić się nazad ku południowi i w górę téj ostat-

niéj coraz wyżéj się wspinać. Nie szliśmy jednak tąż samą co wczorajszego wieczoru drogą, bośmy zaraz przeszli potok Białkę i szliśmy prawym jéj brzegiem, gdy droga, która nas wczoraj do Morskiego Oka zawiodła, szła lewym. Przeprawa nasza przez Białkę była dość trudna, bo po trzęsących się i na wpół zgniłych świerkach rzuconych z jednego brzegu na drugi, woda zaś bystro się toczy pomiędzy ogromnemi głazami. I tutaj pan O. był jak wczoraj naszą opatrznością, i za jego pomocą przeszliśmy wszyscy szczęśliwie. Byliśmy już na ziemi węgierskiéj, i pókiśmy szli doliną Białki a następnie Białéj, spotykaliśmy więcéj limb niż na polskiéj stronie, nie wiem czy z powodu większéj gospodarności sąsiadów naszych Węgrów, czy większego oddalenia tego lasu od ludzkich osad; może jeden i drugi powód na to wpływał, bo uwa- nami wznosił się ów straszliwy „Polski Grzebień“, tak przez Węgrów nazwany z powodu, że chociaż już na ziemi węgierskiéj leży, ale ku Polsce położony. Grzbiet ten wygląda jak szczerba między dwoma wysokiemi szczytami, z których jeden „Wysoką“ inaczéj Tatrą a także „Gankiem“ zwany (8,021 stóp), drugi „Gierlach“ 8,414 stóp liczy.

Gdy zaś sam Polski Grzebień ma blizko 7,000 stóp, wydaje się więc z daleka jak niewielkie zagięcie między temi dwoma szczytami.

Z początku pięliśmy się po ogromnych rozsypanych głazach, daléj po mniejszych już nam dobrze znanych „piargach“, ale dopiero sam szczyt Grzebienia był najtrudniejszym do przebycia, bo tu po raz pierwszy i ostatni w naszéj podróży literalnie jak po drabinie na czworakach włazić było trzeba. Szczęściem nie krywa, z powodu znacznéj wysokości, na któréj jesteśmy, doliny Nowotarskiéj, która, acz nie tak wyraźnie jak z Zawrotu, jest jednak widna oku, a ludzie silnéj imaginacyi lub dobréj wiary, utrzymują, że i Kraków widzieć się daje.

Usiedliśmy na szczycie Grzebienia, i długo nie mogliśmy nasycić oczu tym cudownym widokiem. Wala tłómaczył nam i nazywał widzialne ztamtąd węgierskie miasta i miasteczka, z których największém jest Kesmark, stolica Spiżu, otoczone mnóstwem pomniejszych.

Ale temperatura była tam jeszcze zimniejszą niż na Zawrocie; wiatr mroźny dął w tym wązkim przesmyku jak przeciąg w korytarzu. Wala kazał maszerować, oświadczając, że obiad mieć będziemy niżéj, w tak zwanym „Kwiatowym Ogrodzie“ w dolinie „Wielkiéj“.

Zaczęliśmy się spuszczać do wąwozu pod na-



Mieszkanie Kondratowicza przy młynie królewskim w Wilnie. (116).

żałem, że w ogólności lasy na węgierskiéj stronie lepiéj są zachowane, limb w nich daleko więcéj i częściéj się grubsze drzewo tego pięknego gatunku spotkać zdarzy, i modrzewia daleko większa obfitość. Co także o większym porządku tam świadczyło, to i ten mały wprawdzie symptomat, że mostki i kładki na Białéj były starannie i mocno zrobione, a niektóre nawet poręczami opatrzone, czego nigdzie po naszéj stronie nie ma. Idąc w górę Białéj ścieżka czyli *pyrć*, jak mówią górale, była nadzwyczaj przykra, czepiała się ona urwistego brzegu po ogromnych głazach, tak, że często rękami dopomagać sobie przychodziło. Pięliśmy się coraz w górę, w końcu zwykłym porządkiem ustała wegetacya i byliśmy znowu w alpejskiéj strefie. Około południa zbliżaliśmy się do dwóch małych górskich jeziorek, z których niższe „Zieloném” wyższe „Zmarzłem“ się nazywa, a przed wielki był tego kawałek, jednak już było dobrze po południu gdyśmy saméj krawędzi grzbietu dosięgli. Ale tu otworzył się raptownie naszym oczom widok tak czarowny, że wszystkie trudy wynagrodził.

Zdaje się jakby całe Węgry leżały tuż pod twemi nogami.

Ogromna płaszczyzna rozciąga się jak dywan zielony i ginie w widnokręgu; na niéj jak kwiaty białe i czerwone leżą murowane miasteczka i wioski, które chociaż o milę i więcéj jedno od drugiego odległe, wydają się zupełnie jak maki wśród grzęd ogrodu. Rzadko widok takiéj rozległości jednym rzutem oka zajrzeć można, a co mu więcéj dodaje uroku, to raptowność, z którą się odkrywa.

Tu się już Tatry kończą i nieprzerwany odtąd spadek prowadzi aż na doliny; obróciwszy się zaś nazad, panorama gór przebytych nie zaszemi nogami leżącego, noszącego na niemieckich mappach nazwę *Felkaer Thal*; tak go nazwali niemieccy osadnicy przeważną część ludności Spiżu stanowiący, którzy pokaleczyli wszystkie polskie lub słowackie nazwy miejscowości tamtejszych, tak, że trudnoby się domyśleć, że owa *Felka* znaczy po prostu Wielka dolina. Dzieli się ona na trzy piętra czyli progi: pierwszy, najwyższy, zakończony jeziorkiem „Langensee“, po polsku Długiem lub Polskiem zwaném, to prawie zawsze jest zamarzłe i myśmy je zaledwie na pół tającém znaleźli.

Spuszczając się doń, trafiliśmy na znaczną przestrzeń śniegu, którym cały stok góry był zakryty. Tutaj jeden z młodych Niemców, którzy się z nami wczoraj byli połączyli o mało nie stał się ofiarą fatalnego przypadku. Zachciało mu się „jechać“ z tego śniegowego stoku, i wybrawszy najgorsze miejsce, gdzie ten kończył



ZDJĘCIE Z KRZYŻA. Kopia z obrazu Daniela da Voltera. (117).

się nagle wśród massy kamieni, nie mówiąc nic nikomu usiadł i puścił się z góry. Zbledliśmy wszyscy widząc, jak nieszczęsny Niemczyk leciał prawie prostopadle na kamienie, a Wala miał tylko czas powiedzieć te słowa: „Panowie, będzie pogrzeb!“.

Szczęściem skończyło się na strachu, bo Niemiec lecąc zabierał z sobą massy śniegu, który go poprzedzał i służył mu nakształt poduszki, hamując po części jego impet; do tego blizkim będąc owych kamieni, wystawił machinalnie ręce naprzód i padł na nie. Potłukł się więc tylko nieborak trochę i oszarpał sobie ręce. Odetchnęliśmy widząc go powstającego zdrowo, i wybrawszy lepsze miejsce jedni z nas zjechali, drudzy ostrożnie wrażając pięty do śniegu zeszli w pierwszą dolinę. Minąwszy brzegi zmarzłego jeziorka, otworzyło się oczom naszym drugie piętro doliny „Wielkiéj“; to śliczny widok przedstawia. Na dnie jego leży już nie jeziorko jak zwykle w górach, lecz między nagiemi i jeszcze tam leżącemi płatami śniegu, prześliczna, zielona, a bujną trawą zarosła łąka, różnobarwnemi kwiatami pokryta. Widok takiéj zieleni i kwiatów na téj wysokości (3598 stóp) i w takiem otoczeniu zupełnie martwą przyrodą skał i śniegów, ma w sobie coś niezwyczajnego, a wielka ilość kwiatów usprawiedliwia nazwę Kwiatowego Ogrodu (Blumengarten) którą ta łąka nosi. Jest ona istotnie dnem dawnego jeziora, które kiedyś w ziemię wsiękło lub przerwawszy tamę skalną uciekło i tylko tym sposobem wytłumaczyć sobie można istnienie potrzebnéj warstwy rodzajnéj ziemi na téj wysokości. Przestrzeń łąki bardzo znaczna, bo około 1500 kroków długości i 500 szerokości; wśród niéj wije się, kilku odnogami spadający z „Długiego Stawu“ ruczajek, utrzymując wilgoć potrzebną. I zwierzęca przyroda towarzyszy roślinnéj, bo mnóstwo owadków brzęczy między kwiatami, krety się także tam dostały, a dawniéj było to ulubione siedlisko świstaków, dopóki myśliwi nie wyniszczyli prawie do szczętu niewinnego tego zwierzątka które jest dzisiaj rzadszém od kozic w Tatrach. Pozostały tu tylko ich ślady w licznych norach, nakształt lisich lub borsuczych, które nam Wala pokazywał. Przeszedłszy piękny ogród kwiatowy usiedliśmy u jego południowego krańca nad przepływającym przezeń ruczajem i tam spożyliśmy kończące się już nasze zapasy żywności.

Pod nami leżało trzecie piętro doliny „Wielkiéj“, zakończone dość znacznéj wielkości jeziorem też Wielkiém *Felkaer See* zwaném. Byliśmy już niedaleko od Szmeksu, którego dla gości dolina Wielka i Ogród Kwiatowy stanowią ulubiony cel przejażdżki. Ujrzeliśmy nawet nad jeziorem robotników zajętych murowaniem z kamieni domku jako stacyi dla Szmeksowskich turystów zostawiających tam zwykle konie, aby z tamtąd piąć się pieszo do Kwiatowego Ogrodu.

Zakąsiwszy, zaczęliśmy się w dół spuszczać po bardzo stroméj ścieżce wijącéj się wężykiem; obok nas ruczajek szumiał, huczał, i spadał z piętra na którem leży Kwiatowy Ogród do wielkiego jeziora. Scieżka przechodzi w jednem miejscu prawie pod samym strumieniem, którego jedna z odnóg rozbijając się o skały w kształcie deszczu spada po nad głowami przechodzących po ścieżce, tak że trzeba przejść jak pod rynną i niepodobna się trochę nie zamoczyć. Nareszcie mijamy brzegi Wielkiego Jeziora a Niemiec spizki, cieśla czy mularz budujący domek, porzuca robotę i zabiega nam drogę, a stanąwszy w teatralnéj pozie, pali nam oracyę po niemiecku, poczynając w te słowa: „Willkommen meine Herren in diese unsere Zipser Vaterland“ etc. etc. dowodząc w ozdobnéj mowie jak oni tu się trudzą i mordują dźwigając ciężkie głazy aby zbudować domek, gdzieby podobni nam szlachetni turyści mogli znaleść schronienie od burzy i niepogody, że zatem... reszty czuły słuchacz powinien był się domyśleć. Nasz Krakowiak z natury niemców nielubiący wysłuchawszy dość kwaśno oracyi, odpowiedział „Nix fersztej deicze zunge!“ i poszedł daléj, aleśmy się w końcu zlitowali i zrobiliśmy składkę dla Niemca, za jego oracyę, a pomyśleliśmy przytem, jak to byłoby szczęśliwie żeby u naszego Morskiego Oka dziesięć razy piękniejszego od Wielkiego Jeziora, wybudowano taki domek.

Z doliny „Wielkiéj“ wzięliśmy się w lewo: i wkrótce weszliśmy w piękny las, powiększéj części modrzewiowy, w którym wygodna konna droga wydawała się miękkim kobiercem dla strudzonych nóg naszych. Już aż do samego Szmeksu szliśmy ciągle w dół się spuszczając tymże lasem wśród którego sam Szmeks jest zbudowany. Było może około 6-éj kiedyśmy weszli na ścieżki żółtym piaskiem wysypane najbliższą przechadzkę Szmeksu stanowiące i w parę chwil potem zaczęły z za drzew przeglądać ładne domki tego kąpielowego zakładu.

Wejście nasze do Szmeksu było dość imponujące. Szliśmy szeregiem długim, jak to mówią „gęsiego“ naprzód nieoszacowany Wala w wybornym humorze że nas tak szczęśliwie doprowadził, ze swoją wiecznie dymiącą luleczką w zębach, który się zdawał lokomotywą tego pociągu, a sunął tak żwawo jakby dopiero co z domu wychodził; daléj nas siedmiu turystów podpierając się na toporkach i nadrabiając miną, wszakże nie bez śladów na odzieniu, obuwiu, i postawach ciężkiego utrudzenia, oprócz chyba pana O. który szedł jakby sobie wracał z przechadzki; za nami, także jeden za drugim szły nasze poczciwe chłopaki objuczone i zmęczone, ale wszyscy w najlepszym humorze. *(d. n.)*

KORESPONDENCYA

Z nad brzegów Słuczy.

Jakkolwiek w jednym z numerów Wieńca przy prośbie o nadsyłanie korespondencyj, była druga także prośba, a mianowicie: aby takie fakta jak przepędzanie czasu, pomijać milczeniem, jednakże biorąc pióro do ręki jednocześnie prawie z końcem téj części roku, któréj zabawy towarzyskie najcharakterystyczniejszą stanowią cechę, pomimo woli, nie możemy być posłuszni żądaniu Redakcyi.

Posłuszeństwo wypowiadamy tém chętniéj, że nie widząc (może nie umiemy patrzeć) w owych hulaszczych całonocnych zabawach, nic więcéj jak samowolną ruinę zdrowia, a częstokroć i kieszeni, uświęconą zwyczajem, nie możemy w dzisiejszéj naszéj korespondencyi, czynić o nie wyrzutu naszéj okolicy. Karnawał przeszedł u nas zupełnie tak samo jak i każda inna część roku, oprócz kilku towarzyskich zebrań z okazyi zawartych związków małżeńskich, cisza do koła panowała najzupełniejsza — przepraszam nie najzupełniejsza jednakże, przerwał ją bowiem koncert na niezamożnych uczniów słuckiego gimnazyum, dawany przez artystę p. Jakóba Jodkę na fortepianie i harmonikordzie ze współudziałem panny H. P.

Koléj, która na wstępie zaraz zarekomendowała się nam spotkaniem lokomotyw, a i dziś jeszcze częstemi wypadkami nie zbyt dobrze rekomenduje, w każdym jednak razie jako prawdziwe dobrodziejstwo przez wszystkich jest uważana.

Trudność bowiem komunikacyi, a z nią niemożliwość korzystnego zbytu miejscowych produktów, tak była w ostatnich czasach zagnała nasze obywatelstwo w lasy, jako jedyną ucieczkę, że gdyby tak dłużéj miało jeszcze pozostać, to na naszém błogosławioném Polesiu wkrótce byłoby *po lesie* w całém znaczeniu tego wyrazu. Nie przeceniając wpływu kolei na nasz stan materyalny, w każdym jednak razie mamy prawo spodziewać się rzeczywistych z tego tytułu korzyści.

Ciekawość, ta tak wspólna rodzajowi ludzkiemu wada, musi być chyba rzeczywiście wielką wadą, kiedy za nią nieraz tak ciężko pokutować przychodzi.

Oto dowód: Pewien włościanin, widząc pierwszy raz w życiu *czuhunkę* (jak tu się koléj nazywa), zainteresowany wpływem dróżniczéj chorągiewki na lokomotywę, spostrzegłszy nadchodzący pociąg, rozwiesił na kiju *czerwoną* chustkę, kupioną dla żony na jarmarku, i zaczął nią wiewać na wszystkie strony.

Maszynista spostrzegłszy owego nadetatowego dróżnika, sądząc, że te sygnały powinien jako przestrogę wypadku uważać, dołożył wszelkich starań i pociąg tuż przy włościaninie zatrzymał.

Uradowany tém chłop, zaczął się śmiać, a zapytany przez maszynistę o powód tych sygnałów, odrzekł naiwnie: „Ja chociew pobaczyć szto to budzie“ (chciałem zobaczyć co z tego będzie). Otóż zobaczył, że za taką ciekawość, trzeba trochę drogi do domu nadłożyć; maszynista bowiem zaprosiwszy go do wagonu, zawiózł z pod Nieświeża aż do Brześcia Litewskiego.

Fakt jeden pocieszający zanotować czuję się w obowiązku, a mianowicie, że od pewnego czasu strawa umysłowa coraz staje się niezbędniejszą potrzebą naszéj publiczności: ze stacyi pocztowéj w Słucku, któréj działalność nie daléj pewno jak na 1 i pół mili w okrąg sięga, odbieramy jednakże około 100 pism peryodycznych warszawskich.

To tylko może niezbyt dobrze nas rekomenduje, że czytającą publiczność stanowią prawie tylko kobiety.

Wielki brak młodzieży płci brzydkiéj w ogóle, a wykształconéj w szczególności, bez kwestyi pracę umysłową kobiet zmniejsza jeszcze—przyzna mi bowiem to każdy, jak sądzę, że miłość własna razem ze swoją córką próżnością, jest niepospolitą dźwignią na drodze postępu w ogóle, a nawet jeden z filozofów powiedział: „że cnota z pewnością nie zaszłaby tak daleko, gdyby jéj nie wspierała próżność.“

Tém więcéj jednak za zasługę pięknéj połowie naszéj poczytać to należy, że pomimo małego zbytu plonu otrzymywanego z uprawy roli umysłowéj, uprawa ta jednakże nietylko nie ustaje, ale nawet coraz staranniéj zdaje się być prowadzona.

Średniego wykształcenia, zdrowego rozsądku, ujmującego obejścia obok wysokiego poczucia osobistéj godności, zamiłowania pracy i skromności, téj tak rzadkiéj ozdoby kobiet miast większych, naszym w ogóle odmówić nie można. Nie pragną błyszczeć strojem, odznaczać się wielomównością lub dowcipem, chełpić się rozumem, a jeśli która i rzeczywiście pracuje nad wzbogaceniem swego umysłu, to z pewnością nie w chęci popisu, ale że ta praca stała się już potrzebą jéj ducha, rozrywką w chwilach nudy i wytchnieniem po zajęciach domowych.

Estetyczne tylko wykształcenie z powodu braku środków wiele pozostawia do życzenia nie-

mówiąc już o innych sztukach pięknych, ale nawet ta, która wam Warszawiakom przejadła się już po trosze, muzyka, u nas w kompletném zostaje zaniedbaniu.

Kobiet grających jest niewiele, grających nieźle bardzo mało, a dobrze, to... wolę zamilczeć—ale już to trudność sprowadzenia dobrych instrumentów, już też brak nauczycieli sumiennych i znających swój przedmiot, główną, jak sądzę, ku temu była przeszkodą.

Zima w tym roku przeszła niepostrzeżenie, mrozów wyższych nad 18° R. nie było wcale, a i 18-sto stopniowych niewiele naliczyćby można.

Gospodarze utyskują na ten przewrót natury w tym roku, dowodząc, że ozimina wyprzeć musi pod śniegiem; alež to podobno utyskywania gospodarzy są chorobą chroniczną, na którą nikt jeszcze radykalnego nie wynalazł środka.

Kręcąc się nad brzegami Słuczy, nie możemy pominąć owéj niegdyś rezydencyi książąt Olelków, Słucka.

Jestto sobie miasteczko położone w nizkiéj pozycyi po obu brzegach rzeczki Słuczy, która go dzieli na dwie niesymetryczne części.

Wsławione w czasach miłości brzucha i przez brzuchy, dzisiaj gdy szczególniejsza troskliwość o tę część ciała ludzkiego, bądź to z musu, bądź też z innych powodów upadła..... transit gloria Sluciensis.

Pomimo dosyć znacznéj przestrzeni, jaką zajmuje, zaledwie parę ma ulic, na których jest coś podobnego do bruku, reszta miasta jest wylana, (ale nie asfaltem)—błotem, przez 6—7 miesięcy w roku.

Dziwna rzecz doprawdy taka opieszałość w staraniu już jeżeli nie o co innego, to przynajmniéj o zdrowie: gospodarze tuż za Słuckiem łamią sochy o kamienie, a przyjechawszy do Słucka, łamią osie o wyboje, lub grzęzną w błocie,—czyżby nie lepiéj było oczyścić pole z kamieni, i miasto z błota? Ale kiedy to podobno u nas najlepiéj jest tak, jak już jest—trochę przez herbatę widać spokrewniliśmy się z Chińczykami.

Słuck liczy z górą 10,000 mieszkańców, przeważnie Mojżeszowego wyznania, ma dwa kościoły: katolicki i kalwiński,—kilka cerkwi, gimnazyum bardzo nielicznie uczęszczane—szpital,—przytułek starców i kalek—i dekasterye rządowe, jak i wszystkie w ogóle powiatowe miasta.

Drugą po błocie charakterystyczną cechą naszego miasteczka są... plotki! Jakkolwiek jest to może właściwość wszystkich w ogóle małych miast, ale że nie wszystkie posiadają je w takim stopniu, za to ręczyć mogę. Mnóstwo indywiduów przekładających żywe słowo nad martwą literę, spełnia obowiązki miejscowych kuryerów, — z bólem serca wyznać muszę, że jeżeli gdzieindziéj plotki są zajęciem tylko pięknéj połowy rodu ludzkiego, i to téj mianowicie, którą Chronos uczynił już nie zbyt piękną, to u nas płeć brzydka, kochając się w *bezrobociu* umysłowém, nie mniéj także w tém zajęciu gustuje.

I tak: pan X. podał na ulicy swéj żonie lewą rękę — pan Z. zdziwiony, dla czego nie prawą, wyprowadza zaraz ztąd wniosek, że horyzont ich małżeńskiego pożycia zaciemniać muszą chmury nieporozumień—domniemania swoje komunikuje pani Z, a pani Z. *pod sekretem*, opowiada już znajomym o niesnaskach domowych państwa X.

Pan Z. sprowadził sobie z Warszawy nowy garnitur, pan F. spać nie może z ciekawości ile zań zapłacił, i zkąd wziął na to pieniędzy—ale est modus in rebus.

Na drugi dzień zdyszany dopóty będzie biegał po miejscowych bankierach, dopóki się nie dowie u kogo i ile pan Z. na te *zbytki* pożyczył.

Bardzo wiele bez wątpienia do utrzymania tego rodzaju zajęcia, oprócz braku pracy umysłowéj, przyczynia się to, że towarzystwo naszego miasteczka jest podzielone na nadzwyczaj wielką liczbę kółek. Przejście z jednego kręgu do drugiego, jak w Piekle Dantego, jest niemożliwe. Koteryjność trzeba szanować, kto się nie chce narazić na zupełny brak towarzystwa,—ztąd pochodzi głównie, że jedni na drugich patrząc przez szyby tylko, żywiąc już to uczucie zawiści, już też lekceważenia, bezustannie rozciągają nad sobą skrzydła dobroczynnéj niezbyt opieki.

Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby owe kółka tworzyły się na podstawie pewnych warunków umysłowych lub moralnych; ale niestety, jak o pierwsze tak o drugie nie bardzo się kto u nas pyta, materyalne stanowią tylko—sine qua non.

Na balu np. publiczym w przeszłym roku panna X. nie stanęła do kadryla, dla tego, że miała tańczyć vis à vis z panną Y. na któréj jedynym ciążącym zarzutem jest to, że nauczycielską pracą zarabia na chleb powszedni, a na jéj rodzicach to chyba, że odejmowali sobie od ust, aby dać wykształcenie córce.

Podobnie pan O. nie mógł darować panu B., że ten ostatni będąc jego nizkim podwładnym, śmiał prosić jego córkę do mazura i t. d.

Jedném słowem bardzo wiele warunków składa się na to, że przy bardzo słabém życiu umysłowém, życie językowe coraz obszerniejsze przybierać musi rozmiary; które już to rodząc niechęć jednych do drugich, już też szkodząc dobréj sławie, ani trochę nie zasługuje na to, aby je jako rzecz małéj wagi pokrywać milczeniem.

„Przestańcie, stare dzieci, bo się źle bawicie."

Korwin.

LITERATURA ZAGRANICZNA.

PROJEKT REFORM SPOŁECZNYCH.

Esprit nouveau dans l'humanité; par Henri Brissac.—Paryż, 1872 (deux. éd.)

(Dokończenie. Ob. Nr. 25.)

Otoż, jeżeli dziecko tak zaniedbane w domu, téj najpierwszéj swéj szkole, przejdzie następnie do drugiéj, publicznéj, czyż sumiennie można na nią kłaść odpowiedzialność za wszystkie rezultaty wychowania w skończoném indywiduum objawić się mające? Szkoła, przy ulepszonych a nawet najpożądańszych, choćby według systemu p. Brissaca, urządzona warunkach, spełni swoje posłannictwo, ale za działanie téj drugiéj szkoły, która się nie przerywa, odpowiadać nie może.

Tak jest; trzeba zgodzić się chyba na to, co powiedział p. Brissac, i co tu raz jeszcze powtarzamy:—że gdyby nawet utworzono jakąś naukę produkującą dobro, to praw jéj nie będzie można zastosować bez zmiany otoczenia w jakiém dziecko się wychowuje;—a więc bez zmiany, bez reformy społeczeństwa. Niechże więc rozpoczną kształcenie swe ci, co już mają rozum, przed temi co dopiero do niego przychodzą.

Tak; jest to środek, który podają inni: rozwinięcie i zmetodyzowanie umiejętności pedagogicznéj, przeniesienie jéj do wszystkich domów i postawienie za najgłówniejsze zadanie rodzinnego życia, wzmożenie czynności nad wykształceniem moralném, usunięcie złych przykładów, — i co najważniejsza, zaszczepienie cnoty w tych naturalnych instruktorach dziatwy, jakiemi są rodzice, boć trudno ażeby występny nauczał cnoty.

Ale p. Brissac nie zadowalnia się środkiem działania na rodziców, to dla niego środek byłby blady, nędzny, paliatywa, a on wszystko bierze od gruntu, radykalnie. My téj światłości nie mamy i kiedy on zwraca uwagę na opłakany stan wychowania domowego, godzimy się z nim zaledwie tylko do słów następujących (str. 142):

„Mała tylko liczba dzieci uprzywilejowanych może ustrzedz się skutków wadliwego wychowania. Prawość ich instynktu silniejszą jest nad wszystkie zgubne wpływy; pozostają one dobremi naprzekór wszystkim przykładom sprzysiężonym na ich zepsucie; ale te lube wyjątki nie są w stanie odwrócić potrzebę prawdziwéj edukacyi moralnéj. Taż sama uwaga stosuje się i do rodziców: jeżeli tylko pewna liczba posiada wyjątkowe przymioty odpowiednie wysokości kapłaństwa którem są odziani, gdzież są tytuły innych dające im przywiléj kształcenia swych dzieci? Natura,—mówią,—ich wybrała. Zapewne: dla kochania, ale nie dla zepsucia. Prawa ich ustają na granicy gdzie interes społeczny jest narażonym, czyli tam, gdzie to zepsucie grozi. Nie jestże to zatrważającém, kiedy spostrzegamy, że, oprócz wykroczeń formalnych i znanych, mogą oni przez samą zarazę przykładu pociągnąć dzieci do występków w których gniją sami? Jakaż jest ucieczka dzieci przeciw rozwiązłemu życiu rodziców? Żadna! Powaga rodzicielska w tym razie staje się istną szkołą zatracenia. A później, kiedy uczeń z kolei zacznie dowodzić, że nauka jaką odbierał nie poszła w las, czyż wtedy opinija publiczna lub prawo zaliczy ją do okoliczności łagodzących!"

Te słowa są już wstępem do środka jaki autor podaje, a tym środkiem radykalnym jest ogólne prawidło, bez względu czy rodzice są źli czy dobrzy,—odebrać im wychowanie dzieci i poruczyć obcym, należycie potemu (rozumie się w przyszłości) uzdolnionym.

Jako racyę decydującą w tym przedmiocie przytacza autor, że w ogóle do téj funkcyi rodzicom brak najpierwszéj kwalifikacyi, to jest bezstronności. Rodzice nie mogą być sędziami dzieci własnych, bo ich zaślepia miłość; a gdyby nawet przezorność wzięła górę nad miłością i wyrok przykry stał się nieodzownym, uczucie schwyci za rękę przy jego wykonaniu. Czyż więc nie lepiéj spełnią ten obowiązek inni, którzy nie będąc rodzicami, mogą, bez narażenia się na cierpienie, domierzyć powinności nakazywanéj przez rozsądek.

Inną jeszcze wskazówkę wychowywania dzieci od kolebki poza obrębem domu rodzicielskiego upatruje autor w tym ciągłym nieładzie i zamięszaniu, jakie one sprawiają w domu rodzicielskim, matkę czyniąc męczenniczką a ojca niewolnikiem. Dzieci jednak nic temu nie winne: one potrzebują ruchu, wrzawy i hałasu, to ich natura; one mają swoje wymagania równie jak i starsi, a że te wzajemne wymagania krzyżują się z sobą, więc albo jedno drugiemu ustępować musi albo się wzajem tyranizować. Przy takiém zamięszaniu domowém niema ani spokoju do pracy, ani dostatecznéj czujności nad dziećmi, a nawet, w domach uboższych, dzieci stanowią walną przyczynę braku zarobku. Czyliż więc dlatego ta wesoła, swobodna dziewica idzie zamąż, aby w parę lat zrujnowała całą wesołość i zdrowie przez tyranię dzieci; czyż ten szczęśliwy młodzian dlatego się żeni, aby wkrótce zgiął się pod ciężarem pracy i niepokoju, chcąc być uczciwym ojcem? koniecznaż to, aby zaraz za progiem małżeńskim miało się piekło rozpoczynać? Dzieci,

przy takim stanie jaki jest dzisiaj, muszą być czemś przerażającém, kiedy rodzice średniéj zamożności bardzo często z narzekaniem patrzą na ich rozmnożenie.

Owoż więc jest na to jedna rada. Tak jak urządzone są zakłady dla dzieci dorosłych, — szkoły,—urządzone będą podobneż instytucye dla niemowląt do wieku póki szkoła nie przyjmie ich na swoje łono. Rozumie się, że jedne i drugie urządzone będą wzorowo, według pojęć jakie autor ma o tém i które zaszczyt zapewne przynoszą jego dobrym dla ludzkości chęciom. Początek takich instytucyi przedstawiają już dzisiejsze żłobki, z tą różnicą, że gdy te są dziś tylko przytułkami dobroczynnemi dla ostatniéj nędzy, późniejsze stanowić będą zakłady urządzone według wskazań umiejętności i oddane zostaną na posługę publiczną, jako integralne części instytucyi edukacyjnéj. Te żłobki i ochronki jakie istnieją dzisiaj, chociaż w stanie pierwiastkowym, mogą już oddać ogromne przysługi, i szkoda tylko, że liczba ich jest tak nieznaczną w stosunku do nędzy którą wspierać mają. Każdy czuje, że one otwarte są tylko dla biednéj klassy, która jedynie koniecznością naglona posyła tam swoje dzieci, i że chwalebny skrupuł powstrzymuje od nich nawet wyrobników już niecoś zamożniejszych. I tak będzie dopóty, dopóki zakłady te nosić będą na sobie wyłączną cechę miłosierdzia publicznego. Ale w chwili gdy je utworzy nie wzgląd na nędzę ale wyższy wzgląd moralny i cywilizacyjny, staną one w ognisku edukacyi równym tytułem jak szkoły publiczne i wobec rozsądku żadnego nie będą mogły budzić wstrętu. Chodzi tu o powszechne uczucie pokoleń przyszłych, nie zaś o drażliwość pewnéj liczby współczesnych. Niektórzy z nich odepchną z góry żłobki i ochronki przyszłe, tak jak i dziś są jeszcze ze strachami starcy, którzy za nic w świecie nie wsiądą na koléj żelazną. Tacy zgodzą się chętnie na zakłady nazywające się szkołami; wszystkie inne, utworzone dla okresu przygotowawczego i przeznaczone dla dzieci młodszych, będą ich przejmować trwogą i niedowierzaniem. Ale mniejsza o to, ogół widząc dobre pożytki, śmiać się będzie z rodziców trzymających dzieci w domu od urodzenia, tak jak dziś nazywa piecuchami chłopców co uczą się po domach zamiast uczęszczać do s z k ó ł publicznych. I kiedy takie domowe wychowywanie stanie nareszcie w rzędzie przesądów, wtedy młódź wychowana przez prawdziwych kompetentów pod względem fizyologicznym, intellektualnym i moralnym, da społeczeństwu nowy kontyngens ludzi zdrowych ciałem, umysłem i sercem. Małżeństwo przestanie być jednym szeregiem utrapień, niepokojów i niewoli; żona pozbywszy się wrzawy ustawicznéj i kłopotów dziecinnych, będzie mogła pracą przyjść w pomoc mężowi i być mu miłą towarzyszką; ojciec, wróciwszy spracowany, będzie miał gdzie wytchnąć spokojnie i użyć prawdziwéj rozkoszy domowego życia. Z tém wszystkiém węzły rodzinne nie ustaną, bo jak szkoła i pensyonat nie odrywa dziecka od rodziców, tak i zakład przygotowawczy (jakakolwiek będzie jego nazwa) nie zatamuje drogi sercom rodzinnym.

Taka jest mniéj więcéj treść argumentów przemawiających za edukacyą przez p. Brissaca proponowaną. Czyli: dziecko nie ma ani chwili pozostawać w domu; po urodzeniu przechodzi zaraz do żłobka (używamy téj nazwy dzisiejszéj w braku innéj), ztamtąd do szkoły, ze szkoły do społeczeństwa, jako gotowy jego członek do pracy około dobra powszechnego uzdolniony.

Nie jest to wcale mowa na wiatr, i od czasów Spartańskich tłukła się ona po świecie. Autor,



Wala. (118).



Przybycie do Szmeksu. (119).

przyznać musim, głęboko wniknął w krzyczące potrzeby społeczne, wystawił na widok rany i podał lekarstwa, jakie uważał za najlepsze, a nadto, zręcznie umiał nasunąć myśl, że dzisiejsze żłobki i ochronki są już jakby próbą, przedświtem jego systematu. W istocie, zastanówmy się tylko, że dziś nikt nie uskarża się na te instytucye a przedewszystkiem rodzice, ale owszem, że one mają sympatyę publiczną; że instytucye te zaczną się stopniowo rozszerzać tak jak zacząć się mogą zwalniać skrupuły klass zamożniejszych; że instytucye te drogą zyskiwanych zasobów wydoskonalą się i uwytwornieją, — i jesteśmy już o krok tylko od programu o którym mowa. Co pewna, to w społeczeństwach, na zachodzie, gdzie czas, praca i warunki ekonomiczne stanowią interes pierwszego rzędu, na tę rzecz nie będą się zapatrywać z uprzedzeniem i wstrętem.

Prawda, w cóż się wtedy obróci czułość rodzicielska, potrzeba serdecznego a bezpośredniego zajęcia się czemś ukochaném, gdzież te tysiączne odcienia radości matek w uśmiechach i pieszczotach dzieci, rozkosze za które siedmiu mieczami boleści one odpłacić gotowe. Będzież ta matka ustawicznie biegać do żłobka, aby miéć prawo być matką miłości nietylko przekonania? kiedyż dziecko, przechodząc z rąk w ręce będzie miało czas być synem lub córką, pokochać tych co mu dali życie i spełnić względem nich obowiązki i nawoływania serca? Na te wszystkie pytania książka p. Brissaca odpowiada wymijająco albo nawet pogardliwie, odsyłając to do bezużytecznych sentymentów, które upaść powinny w obec wielkiego interesu społecznego; czyli autor immoluje rodzinę za rzecz społeczeństwa i zdaje się powiadać: macie alternatywę; albo zostawić *status quo* rodzinne i miéć społeczeństwo wiecznie kulawe i cierpiące, albo zadać gwałt nawyknieniom serca i postawić społeczeństwo zdrowe. Jedném słowem, zwraca do zwietrzałéj ustawy Lykurga która obok wielkich cnot wyrodziła i wielkie potworności.

Nie! nie chcemy uwierzyć w możliwość takiéj jedynie alternatywy, jaką tylko co widzieliśmy, ani przyjmować środka któryby kosztem uczuć najdroższych miał odbudowywać społeczeństwo. Jedyną zaś korzyść z wywodów autora upatrujemy tylko w zwróceniu uwagi na luki jakie zachodzą w k w e s t y i wychowania. Umysły silnie wstrząśnięte samém przedstawieniem rzeczy, mają pobudkę do skupienia się w tym kierunku.

Ale rozkład zasady rodzinnéj, jaki czuć się daje w projekcie organizacyi wychowawczéj, stanowczo już zapanował w pojęciach autora o małżeństwie. — Tu już przesada jest i w samém przedstawieniu, rozumie się kolorami najczarniejszemi, s y s t e m u dzisiejszych małżeństw.

Według autora, rozmaite przyczyny pospolite, nizkie lub bezecne wpływają na zawarcie małżeństwa: utrwalenie potomstwa, spłacenie długów, nabytek fortuny, odzyskanie zdrowia, świetna koligacya, pociąg zmysłowy, konwenans, ambicya, miłość w ł a s n a, wszystko: a nawet dobrze poszukawszy, może się tam znajdzie i miłość, miłość idealna, rzetelna, nie fizyczna ani platoniczna.—On zaś pragnie i stawia za jeden z warunków szczęścia ludzkości, aby początkiem i zasadą związku małżeńskiego była wyłącznie miłość.

Nie przeczymy, że często i nader często warunek ten nie bywa przestrzeganym w pochopie do małżeństwa, a pochodzić to może z dwóch przyczyn: albo ludzie zawierający lub korzający związek małżeński lekceważą ten warunek istotnie niezbędny i zasadniczo moralny; albo też łączą się w nieświadomości istoty tego warunku, to jest, ulegając pierwszemu lepszemu pociągowi i upodobaniu, w dobréj wierze biorą go za miłość, przewodniczkę trwałości związku i szczęścia małżeńskiego. Jużciż małżeństwo zawierane bez

Dokończenie w dodatku.

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 26-go.

miłości jest ciałem bez duszy, zwodną formą, nadużyciem i fałszem.

Ale, iżby rzeczy postawić na właściwém miejscu, dosyć zdaje się byłoby nastawać na to, iżby wlać w uczucie powszechne, przekonanie o potrzebie przygotowania się do małżeństwa przez miłość, jako jedyny środek do zbawienia na téj drodze z któréj nie ma zejścia, chyba drogą śmierci.

Ale autor jak w materyi poprzedniéj tak i tu, nic a nic nie liczy na pojedynczą moralność, lecz te wszystkie nieszczęścia i zgorszenia, jakie płyną ze złe dobranych związków, przypisuje wadliwości ustroju społecznego, a więc instytucyi małżeńskiéj i prawu.

Według niego, ponieważ miłość tylko sama decydować może o związku dwojga istot mających wzajem oddać się sobie, przeto wszystkie formy krępujące swobodę tego uczucia są barbarzyństwem i przemocą, a jako takie winny być usunięte.

„Jeżeli kochasz swoją wybrankę,—powiada on przez usta jednego z postępowych interlokutorów,—to biegnij za swą skłonnością, którą dało ci Niebo samo. Fałszywym moralistom zaprzeczającym ci tego prawa, rzuć w oczy jedyne słowo odpowiedzi: — „kocham i jestem kochany!" — Skrusz zapory oddzielające ją od ciebie; one są sztuczne i Opatrzność je przeklina. Zabieraj swój skarb choćby ci go odmawiali: on należy do ciebie. Idź za nim na dno piekieł, jak za Eurydyką. Na szali sprawiedliwości wiecznéj, stosy kodeksów i tysiące kazań nie ważą nic obok dwóch dusz rozdzielonych, które pragną się zlać. Wszyscy ci, którzy kochali, kochają lub marzą o miłości, mogą ganić cię głośno, ale tajemnie podtrzymywać cię będą".

Ustęp ten na pierwszy rzut oka wydaje się niewinnym wybuchem poetycznéj werwy; ale w gruncie mieści w sobie cały system małżeński. Téj Eurydyki radzi autor szukać nietylko po za uprzedzeniami kasty, religii, położenia towarzyskiego, ale nawet po za zobowiązaniami ślubów poprzednich. Jedyném prawem małżeństwa ma być miłość. Śluby czy to religijne, czy cywilne, są nietylko niepotrzebne, ale nawet szkodliwe, bezprawne: bo albo przykuwają niechętne sobie z czasem osoby i tamują im szczęście oparte na uczuciu, albo są parawanem prostytucyi i wzajemnego oszukiwania. Nie ma małżeństwa, gdzie miłość wystygła, małżeństwo takie jest prostytucyą legalną. W pismach francuzkich rozmaitéj formy nie brakło dotąd rzeczników rozwodowych i rozwodzących się nad zgorszeniem, jakie i w treści swéj i w następstwach przedstawiają źle dobrane małżeństwa, gdzie mąż pijak i utracyusz albo żona występna zatruwają życie jedno drugiemu i trucizną zarażają dzieci. Powstają tam z oburzeniem na dodatkowy artykuł do kodeksu Napoleona, wtrącony za Restauracyi, i aż dotąd przez wszystkie późniejsze rządy utrzymany:—„*Le divorce est aboli*". — Prawo nieprzekonane takiemi argumentami, daje wszelakoż opiekę niezadowolonym małżonkom i ucieczkę prawną w tak zwanéj separacyi. Ale p. Brissac jakby o tém nie słyszał wcale, ani znać tego nie chce w swojéj teoryi. Oczywiście, separacya i rozwód formalny tam tylko może miéć miejsce, gdzie był formalny ślub; a według jego teoryi ślubem jest tylko zobopólne przyzwolenie: dwie istoty łączą się i rozchodzą w miarę upodobania czego wymowny dała wiekom przykład słynna Ninon Lenclos, któréj on logiczność aprobuje. Zasadą więc rodziny według niego jest jakaś wolna praktyka miłości, i to się nie będzie zwało prostytucyą, bo ta ma tylko tam miejsce gdzie miłości nie było; miłość zaś jedynie i wyłącznie uświęca tego rodzaju związki, nie zaś żadne formy religijne i społeczne, które tylko prawem kaduka zaciążyły nad miłością i jéj stosunkami. Z téj teoryi wynika, że w taki sposób mężczyzna i kobieta mogą się kilka lub kilkanaście razy w życiu żenić i iść za mąż; bo uczucie miłości nie jest nieruchomém w swéj najpierwszéj formie. Ono kształci się jak myśl, dojrzewa, zmieniając więc formę, zmienić może i przedmiot i szukać a znajdywać coraz siebie godniejszy,— i takie przechodzenie kobiety z rąk do rąk także prostytucyą nie będzie. I otóż to jest doktryna, do któréj ludzkość dojrzeć ma stopniowo po kilku wiekach:—dobrze przynajmniéj, że tak późno. Czytającemu to może nasunąć się pytanie, czy to nie ironia? czy mógłby ktoś na seryo takie bezeceństwo stawiać za warunek istnienia rodziny, która jest podstawą ludzkości całéj, i z tego wróżyć szczęście.—Jednakże tak jest. Na wypowiedzenie podobnéj zasady trzeba czegoś więcéj niż odwagi cywilnéj,—trzeba zupełnego lekceważenia różnicy między uczciwością a rozpustą. Dziś przynajmniéj ta wstydzi się i chowa w cień; w systemacie p. Brissaca mogłaby się rozsiąść na słońcu, pod opieką prawa; byłaby to tylko prosta zmiana szyldu i nic więcéj. Gdyby p. Brissac nie był napisał innych rzeczy, wzięlibyśmy go za jednego z pozostałych rozbitków kommunistycznego obozu.

Idea podobna nie gdzieindziéj dziś wyrodzić się mogła, tylko we Francyi, gdzie tego rodzaju łączenie się w pary na czasowe małżeństwo praktykuje się od dawna, i gdzie mianowicie, więcéj niż w każdém inném społeczeństwie, stosunek małżonków do siebie i do dzieci bez form się obchodzi. Przypatrzmy się jak tam w powieściach i dramatach, oczywiście harmonizujących z obyczajem realnym, ojcowie pochwalają synom efemeryczne związki, niby już pewny stopień umoralnienia w obec hulatyk codziennie się zmieniających. Autor, który ma często przed oczyma przykłady rozluźnienia uświęconych wiekami form rodzinnych, a nie dostrzega, aby społeczeństwo traciło coś przez to na swéj żywotności i sile, — choć dziś nareszcie we Francyi nie dojrzeć tego niepodobna, — nic dziwnego, że nie cofa się przed rozciągnieniem takiéj doktryny do ostateczności i podprowadzeniem wyjątkowego stanu rzeczy pod ogólną zasadę. Nic też dziwnego, że jego pojęcia znalazły approbatę w takim pisarzu jak pani George Sand, któréj list pochwalny dla p. Brissaca ogłosiły niektóre dzienniki francuzkie, i która w nim dzieło to nazywa *romansem przyszłości*, przyznając autorowi co najmniéj śmiałość i oryginalność pomysłu.

My z naszéj strony widzimy w nim dowcipnego obserwatora obecnego stanu rzeczy w społeczeństwie ludzkiém, zwłaszcza zaś stron ujemnych i bolesnych. Nikt nie stanął nad niém pilniéj z nożem anatomicznym, nikt z zimniejszą krwią nie poodkrywał wszystkich, bodajby najskrytszych ran. Argumentator w nim już niżéj stoi od dyagnostyka, ale medyk to już zbyt zuchwały i radykalny, abyśmy mieli na ślepo i z całém zaufaniem w jego ręce zdrowie publiczne powierzać. — Całe słowem dzieło jego jest utopią, w wielu punktach, mianowicie w rozdziałach co do „prawa powszechnego" najzacniejszemi przejętą wyobrażeniami;—indziéj, jak np. w rozdziale ostatnim, wynikłą z zagorzalstwa radykalnego. — Jako utopia mniejby ono nas zajmowało; lecz zwróciliśmy na nie głównie uwagę pod względem myśli co w liczbie innych, popularyzują się i obiegają dziś po Europie, jako wyniki doktryn w dobréj czy złéj wierze poczętych, które oparłszy się na podstawach ściśléj umiejętności, czują się uprawnionemi do burzenia dotychczasowych podstaw moralnych, zostawiając tym sposobem puste po nich miejsca i rozwiązując ręce nowym budowniczym, nie zaopatrzonym wprawdzie w materyał, ale obfitym w projekta i silnym zarozumiałością.

Kazimierz Kaszewski.



Koncert p. Wł. Górskiego.—Koncert na korzyść biednych wspieranych przez Towarzystwo Pań Miłosierdzia Ś. Wincentego a Paulo.—Koncert p. Aleksandra Zarzyckiego.—Sonata p. Henryka Jareckiego.—Cérulik Sewilski grany przez artystów miejscowych. — Koncert Józefa Wieniawskiego.—Orkiestra Towarzystwa Muzycznego.—Projekt reformy Ustawy Towarzystwa Muzycznego.

Przegląd nasz dzisiejszy szczęśliwie nam się nadarza rozpocząć od nader pięknego i zajmującego koncertu pana Władysława Górskiego, który się odbył w dniu 22 Lutego. Pan Górski jest obecnie najlepszym skrzypkiem w Warszawie. Mówiąc to nie rachujemy pana Apolinarego Kątskiego, który oddawna z grą swoją w Warszawie już się nie produkuje i mało w niéj nawet przebywa. Pan Górski oprócz wielu zalet niepospolitych, ma tę jeszcze, że się kształci bezustannie i stojąc już bardzo wysoko jako egzekutor, stara się bezustannie naprzód postępować. Traktuje też on każdy utwór wcale odmiennie niż go inni skrzypkowie traktować zwykli. Przedewszystkiém chodzi mu nie o to żeby samemu się zalecić, lecz żeby utwór wykonywany jak najwłaściwiéj i najszlachetniéj słuchaczom się wydał. Wprawdzie tu jedno idzie za drugiém, bo skoro utwór wykonywany właściwie, przez słuchaczów pojętym zostanie i do gustu im przypadnie, to jednocześnie i egzekutor uznanie zyskać musi. Ale zawsze egzekutorowi za zasługę poczytać wypada, kiedy nie swoję osobę, lecz utwór na pierwszym stawi planie. To też pan Górski nigdy się nie ucieka do szarlatańskich wybiegów, żeby figielkami oko mamiącemi i nerwy drażniącemi zyskać podziw i oklask bezmyślnéj gawiedzi, lecz sumiennością i prostotą zdobywa sobie szacunek i poważanie znawców. Charakter gry jego jest przeważnie liryczny, a nawet elegijny i tą barwą nawet utwory dramatyczne piętnuje. Niema też w grze jego potęgi tonu, miejsce zaś jéj rzewność i tkliwość zajmują. Nie jest to ów artysta-poeta usiłujący duchem swym zbadać tajniki praw świata: pojąć przeszłość i przyszłość odgadnąć. On się zamyka w skromném kółku lubéj mu podmiotowości: marzy, tęskni, kwili, goni za widziadłami swéj nie zbyt rozhukanéj wyobraźni i jak motyl podczas poranku kwietniowego napawa się roskoszą chwili obecnéj. Burze i huragany namiętności są mu obce,—lada listek trawki osłonić go od nich po-

trafi. Taki dla nas ma charakter gra pana Górskiego.

Podzieliwszy program na dwie części, pan Górski pragnął w każdéj z nich przedstawić dwie epoki muzyki skrzypcowéj. W pierwszéj więc umieścił utwory dawnych kompozytorów, w drugiéj nowożytnych. Do pierwszéj części słuchaczów wprowadzał stary Haydn swym cudownym „Kwartetem" (D tw.), u wrót zaś drugiéj części stanął Antoni Rubinstein ze swą „Sonatą"(A mięk.) na fortepian i skrzypce. „Bourrée" Bacha na same skrzypce zagrał pan Górski z wielką sumiennością, wykończeniem i z takiém uszanowaniem dla utworu, na jaki on zasługuje. Cieszyliśmy się niewymównie z wydobycia na jaw u nas po raz pierwszy tak pięknéj rzeczy jak „Arya" na skrzypce przez Pietro Locatelli di Bergamo. Rzecz to u nas wcale nieznana, a niepospolicie piękna. Słuchając ją z akompaniamentem dorobionym przez L. A. Zellnera, myśleliśmy sobie czyby Locatelli własny utwór swój poznał przy tak zmienionym przez Zellnera akompaniamencie. Locatelli bowiem opatrzył swą kompozycyą tylko basem cyfrowanym, Zellner zaś na nim się opierając dorobił akompaniament rozmaitemi figurami ucharakteryzowany. Tak jak jest, jest dobrze, ale zaręczyć trudno czy Locatelli o podobném charakteryzowaniu myślał. W „Koncercie" (op. 26) Maxa Brucha wstęp (G mięk.) dziwnie nam przypomniał aryą z „Widm" Moniuszki (Dzieci! nie znacież mnie). Można wszakże zaręczyć, że obaj kompozytorowie pisząc jeden o drugim nie wiedzieli. „Widma" bowiem daleko pierwiéj napisane zostały, a Bruch zapewne nie wie nawet że „Widma" istnieją. W finale (G tw.) wyraźnie charakter madziarski się przebija.

Biorąca udział w koncercie panna Wanda Szwarcerówna występowała kilka razy u nas publicznie przed dwóma czy trzema laty. Następnie gościła we Włoszech, zkąd o jéj talencie i postępach bardzo pochlebne wieści do nas dochodziły. Ale równie we Włoszech jak i u nas nie sama tylko prawda się drukuje i pomimo szumnych o niéj reklam w gazetach włoskich, przekonaliśmy się, że śpiew jéj z granic pospolitości nie wykracza. Koloryt głosu wcale miły, nizkie tony dobre, ale gamma niewyrównana, intonacya chwiejna, regestry niepołączone. Dziwno też że niektóre tony wyższe brała dość łatwo, a niższe od nich z wielką trudnością. *E* wysokie brała bez wysiłku, a *Es* bardzo forsownie. W interwalach tak jest niewprawną, że najłatwiejszego z nich—oktawy, prawie nigdy czysto nie wzięła. Śpiewała aryą z „Orfeusza" Gluck'a i widać było, że rodzaj ten muzyki wcale jest jeszcze obcym dla niéj.

Pan Filleborn zaśpiewał prześlicznie i co się zowie artystycznie „Dobranoc" Abta, gdzie mógł należycie swoje pianissimo uwydatnić, czém przeważnie stara się zawsze słuchaczów kokietować.

Najoryginalniejszym ustępem w koncercie była deklamacya pani Modrzejewskiéj. Nie pojmujemy jakie okoliczności zmusić ją mogły do tak niefortunnego wyboru poezyi.

Pani Modrzejewska deklamowała wiersz pod tytułem "Psyche" napisany przez pana Wacława Szymanowskiego. Jest to utwór czysto refleksyjny zupełnie żywiołu deklamacyjnego pozbawiony. Jeżeli można porównać zamiar podobną rzecz deklamować, to wcale byśmy się nie dziwili, gdybyśmy kiedy na koncercie się spotkali z rozdziałem „Zasad krytyki" Tyszyńskiego na fortepianie na cztéry ręce wykonanym. Powstajemy na nadużycia *muzyki przyszłości* wkraczającéj niewłaściwie w dziedzinę architektury, rzeźby lub malarstwa, a probujemy wprowadzać deklamacyą na pole spekulacyjnéj medytacyi!

Miłosierne panie składające Towarzystwo św. Wincentego a Paulo urządziły w dniu 5 Marca koncert na korzyść biednych pod opieką tego Towarzystwa zostających. Naturalnie więc żywioł amatorski w koncercie tym przeważał. Była tam muzyka wokalna, instrumentalna i deklamacya.

Panna Halina Troszlówna wykonała pięć śpiewów solowych. Altowy koloryt jéj głosu jest bardzo niezwykłym i oryginalnym, ale, jak dla nas przynajmniéj, wcale niesympatycznym. Może zresztą nie sama właściwość głosu ale i niedostateczność jego wyrobienia jest do tego powodem. Często bierze tony gardlane, regestry jeszcze nie są zjednoczone, i w wielu razach układ ust niewłaściwy, to jest zbyteczne ich ściąganie przeszkadza do wydobycia się głosu pełnego. Może rezultaty dalszéj pracy panny Troszlówny pogodzą nas potém z jéj śpiewem, ale dotychczas nie liczymy się do dość licznego grona jego zwolenników.

Pani Antonina Pęcherzewska zapowiedziawszy aż pięć śpiewów solowych, z których arya z klejnotami z „Fausta" jest niepospolitéj trudności,—poprzestała na wykonaniu dość zimném dwóch drobnych piosnek Moniuszki.

Pan Filleborn powtórzył nam znowu „Dobranoc" Abta. Już to na rzeczy nowe nie bardzo się lubi zdobywać.

„Koncert symfoniczny" Litolffa wykonała na fortepianie z towarzyszeniem orkiestry pani Gertruda Laska bardzo starannie i poprawnie. Że zaś jéj niekiedy siły do wypowiedzenia potężnéj Litolffa deklamacyi zabrakło, to rzecz bardzo naturalna i zarzutu z tego nie robimy.

Panna Romana Popielówna wcale wdzięcznie i rzewnie wypowiedziała wiersz Ujejskiego pod tytułem „Za służbą". Wszakże powściągliwość na początku deklamowania tego wiersza wzmocniłaby znakomicie koniec jego. Stosujemy to do owego drżenia głosu czy też łkania, którem panna Popielówna zbyt suto szafuje. Sposób ten pod koniec użyty silne wywarłby wrażenie. Lecz nadużycie jego w samym początku zbyt z nim słuchaczów oswaja i przez to samo mocy pozbawia.

Nie możemy przemilczeć o wybornéem wykonaniu przez orkiestrę uwertury z „Euryanty", któréj przewodniczył Józef Wieniawski. Wybornie też nią dyrygował podczas towarzyszenia „Koncertowi" Litolffa.

Pięknym był i zajmującym koncert pana Aleksandra Zarzyckiego w dniu 9 Marca wydany. Imie pana Zarzyckiego do głośniejszych w naszém mieście należy i wszelkie też do tego prawa posiada, bo gra jego już z zakresu pospolitości wychodzi. Przy bardzo wysokim mechanizmie posiada on umiejętność cieniowania, delikatność dotknięcia, gust wykształcony, elegancyą i umiejętność przejęcia się myślą wykonywanego utworu. Nie cechuje wprawdzie piętnem swéj indywidualności wykonywanych kompozycyi, ale też ich i na niebezpieczeństwo skaleczenia nie naraża.

Koncert rozpoczęła „Fantazya" (op. 73) A. Rubinsteina na dwa fortepiany przez koncertanta i pana R. Strobla wykonana. Ładna to kompozycya i ułożona w sposób zupełnie odmienny niż zwykle podobne kompozycye się układają. Najczęściéj w takich razach oba fortepiany dysputę z sobą prowadzą: jeden zapytuje, drugi od powiada, następnie sprzeczają się, przekomarzaję się, kłócą się i t. p. W „Fantazyi" zaś Rubinsteina oba fortepiany nie tylko są w zgodzie, lecz jeden drugiego po kolei wyręcza w dalszém snuciu myśli pierwotnéj. Jest to więc raczéj zajmującém bardziéj dla wykonawców, niż dla słuchaczów, gdyż przy równéj sile obu fortepianistów i przy dobrze dobranym tonie instrumentów, słuchaczom wydać się może, iż to jedna osoba gra na jednym fortepianie, z wyjątkiem tych miejsc tylko, gdzie massa brzmienności przypomina że tu udział biorą dwa fortepiany. — Pan Strobel gra bardzo dobrze na fortepianie,—może trochę za sucho, za chłodno, lecz dokładnie i sumiennie. Pomimo całéj swéj wytrawności i obycia się ze sztuką i z publicznością, pan Strobel jest przy każdém publiczném wystąpieniu nieśmiałym i zalęknionym. Wadzie téj często nawet znakomici egzekutorowie podlegają. Otóż z tego powodu pan Strobel w pierwszém mianowicie allegro kilka biegników, wcale zresztą dla niego nietrudnych, opuścił; lecz potém, gdy z pierwszego wrażenia ochłonął, szedł już wciąż dobrze, bynajmniéj w niczém koncertantowi nie ustępując. Wszystkie kompozycye solowe pan Zarzycki grał bardzo ładnie, z wielką biegłością, wdziękiem i cieniowaniem, chociaż żadnéj z nich poglądem oryginalnym nie napiętnował. Program składał się po większéj części z utworów pięknie dobranych. Mówimy: po większéj części, gdyż zdaniem naszém nie powinna była znaleźć w nim miejsca wcale mierna pod względem kompozycyi „Fuga" Klengla na temat z Don Juana, bez żadnéj racyi charakteru scherza pod koniec nabierająca. Równie też nie zgodzilibyśmy się na umieszczenie „Mazurka" kompozycyi hr. Wielhorskiego, który może figurować po salonach, lecz nie w programie artysty.

O śpiewie pani Julii Uszyńskiéj, znanéj niegdyś z kilku publicznych wystąpień jako panna Jaroszewiczówna, możemy to tylko powiedzieć, że bardzo często tony zniża, to jest, jak się mówi zwyczajnie,—nie dociąga. Aryą z „Purytanów" rozpoczęła bardzo pięknie, lecz potém już było gorzéj i do początkowego nastroju nie wróciła.

Jesteśmy wielkiemi zwolennikami a nawet wielbicielami talentu deklamacyjnego pani Modrzejewskiéj, lecz na pojęcie deklamowanego przez nią w tym koncercie ustępu, wcale się nie zgadzamy. Był to wyjątek z dramatu Maryana Kochanowskiego p. t. „Władysław Korwin". Pani Modrzejewska wypowiedziała go bardzo umiejętnie, z wielką subtelnością cieniowania, z boleścią rozrzewniającą a nawet z rozdzierającą rozpaczą. A jednak nie było tam tego właśnie co główną barwę sytuacyi stanowi. Stara czarownica dzieje swéj miłości przypominająca, powinna je opowiadać ponuro, niekiedy z ironią, gorzko, zapalczywie a nawet wściekle. Ton zaś sentymentalnie sielankowy, w który pani Modrzejewska swoję deklamacyą oblekła, osłabił doniosłość, spaczył sytuacyą i zmienił cel i dążność autora.

---

13 Marca w Towarzystwie Muzycznem po raz pierwszy wykonano „Sonatę" na fortepian i wiolonczelę utworu pana Henryka Jareckiego. Kompozycya ta na zeszłorocznym konkursie tegoż Towarzystwa otrzymała pierwszą nagrodę i trzeba przyznać, że ze wszech miar na to zasłużyła. Cała „Sonata" napisana jest porządnie i z wielkim talentem, lecz najlepiéj ze wszystkich części, udało się Andante. Jest ono jasne, przejrzyste, potoczyste, rysunek okresów szeroki konsekwen-

cya myśli naturalna, słowem posiada mnóstwo zalet, których nie jeden kompozytor mógłby pozazdrościć. Pierwsza część i finał są już słabsze. Mianowicie finał jest jakoś niejasny: frazesy są w nim za szczupłe, za ciasne i nie mają pomiędzy sobą téj łączności, która tak andante zaleca. W ogóle jednak cała „Sonata" jest kompozycyą bardzo ładną i wnosząc z niéj piękne nadzieje z talentu pana Jareckiego rokować możemy.

Przyznał to mu i Liszt, który do liczby sędziów konkursowych należał.

„Cérulik Sewilski" grany był w teatrze 16 Marca przez artystów miejscowych. Całość szła lepiéj, niż idzie u naszych Włochów. Ale kiedy mówimy, że lepiéj, to jeszcze nie znaczy że dobrze. Rozyna była za ciężka i za poważna,—Figaro zaś nie umie śpiewać, nie pojmuje roli i niema akcyi.

Na finał naszego sprawozdania szczęśliwie nam mówić wypadło o koncercie Józefa Wieniawskiego, który się odbył przed ośmiu dniami, to jest, 21 Marca. Niedawno Wieniawski wrócił do nas z zagranicy, gdzie bawiąc przez parę miesięcy dał kilkanaście koncertów z ogromném powodzeniem. Powodzenie to bardzo nas obchodzi i cieszy, bo obecnie mamy trzech tylko naszych muzyków, którzy w całéj Europie się produkują, to jest, Antoniego Kątskiego, Józefa i Henryka Wieniawskich. Oni tylko sławę naszą muzyczną po świecie roznoszą. Otóż Józef Wieniawski stanąwszy już oddawna na stopie pierwszorzędnego artysty europejskiego, coraz jednak naprzód się posuwa. Najlepszym jego postępu dowodem był koncert czwartkowy, w którym słuchaczów obeznanych z grą jego, wprawił w podziw i zdumienie. I nie był to podziw nad mechanizmem, bośmy przecie słyszeli najwyższe w świecie pod tym względem potęgi. Ale połączenie najwyższych i najzacniejszych zalet duchowych w téj grze potężnéj prawdziwie zaimponowało słuchaczom. Zastanawiając się nad grą Wieniawskiego nie raz to na myśl przychodzi, że ten a ten biegnik, taką a taką trudność inny artysta nie gorzéj a czasem i lepiéj od niego wykonywa, ale zarazem przyznać wypada, że wszystkie te rzeczy razem splecione i w całości jakiegoś utworu zjednoczone u nikogo z wykonawców tak znakomicie i doskonale jak u Wieniawskiego się nie wydają. Przyczyną tego to być musi, iż inni, chociażby najświetniejsze warunki gry posiadający, gubią się w drobnostkach, zużywają się na kokietowanie słuchaczów szczegółami, mogącemi jakąś jednę stronę ich wyższości wykazać, Wieniawski zaś tém nad innemi góruje, że zgłębiwszy i ująwszy najtrafniéj myśl całego utworu, tak ją sobie przyswaja, do tego stopnia wsiąka ona w cały organizm jego duchowy, iż następnie przy reprodukcyi nie tracąc charakteru swego pierwotnego, ukazuje się słuchaczom cała owiana i przesiąknięta piętnem jego własnéj indywidualności. Gdy zaś do tego się dołączy niezrównana wyrazistość jasność i szlachetność dykcyi, to nic dziwnego, że gra taka przewyższa wszystkie inne, chociażby pod innemi względami najświetniejsze. Ale cóż począć z ludźmi? Tak nam trudno się zdobyć na zdanie samodzielne i niezależne, iż większość osób u nas, przyznając potęgę grze Wieniawskiego, nie ośmiela się powiedzieć a nawet pomyśleć, żeby ten co pomiędzy nami się urodził, wzrosł i mieszka, mógł być wyższym od sławnych znakomitości zagranicznych. Taka to już natura ludzka! Trudno zostać prorokiem u swoich. Patent na to tylko obcy wydawać mogą. Co do nas, nie wahamy się śmiało i otwarcie zdania naszego wypowiedzieć, iż gra Wieniawskiego taka jaką była na ostatnim koncercie, wydaje się nam wyższą od wszystkich, jakie nam kiedykolwiek słyszeć się zdarzyło. Jeżeli zaś kto na to się nie zgodzi, to go nam tylko przeprosić wypada, że się kierujemy nie cudzym, ale swoim własnym poglądem i płynącém z niego przekonaniem.

Na czwartkowym koncercie cały program Wieniawski swoją tylko własną grą wypełnił. I słusznie, bo kto posiada taką obfitość zasobów artystycznych, ten się zapożyczać nie potrzebuje.

Z nowin bieżących możemy jeszcze czytelnikom udzielić tę, że orkiestra pragnąca swe usługi Towarzystwu Muzycznemu poświęcić, o czém w N. 20 pisma naszego wspominaliśmy, już jest uorganizowaną, dzięki dobrym chęciom i energii jednego z artystów, którego imienia tu nie wymieniamy nie chcąc obrażać jego skromności. Spodziewamy się że komitet Towarzystwa nie od rzuci téj ofiary, która czynem jego życzenia uprzedziła.

W témże Towarzystwie pewna ilość członków spostrzegłszy, że dotychczasowa Ustawa Towarzystwa nie jest zupełnie odpowiednią i dostateczną, wypracowała swe wnioski i podała Komitetowi projekt zreformowania Ustawy. Rzecz to niemałéj wagi i zapewne wkrótce o skutku jéj się dowiemy. *Fuza.*

DWA OSTATNIE SCHRONIENIA
KONDRATOWICZA.

Musicie znać czytelnicy, a jeśli ktokolwiek z was nie zna, radzimy z całego serca, ażeby poznał *Poezye Ludwika Kondratowicza* (Władysława Syrokomli), których kompletne wydanie na rzecz osieroconéj rodziny poety, doszło już dziewiątego tomu i za kilka tygodni się skończy. W pośród ciągłego zgiełku na tłumném targowisku życia, wśród huku machin po wielkich i małych warsztatach, wśród skrzypu piór gęsich i stalowych na chwałę targowiska i machiny, warto choć kiedy niekiedy przypominać sobie odwrotną a niemniéj rzeczywistą stronę życia. Przez wszystkie karty historyi świata wije się jak nić czerwona prawda wiekowa, nadaremno zaprzeczana w obłędzie: że i człowiek pojedynczy i cała społeczność ludzka nie samym żyje chlebem, że dusza jednostki i ogółu potrzebuje na pokarm pierwiastków uszlachetniających, miarkujących wyuzdanie pomyślności, pokrzepiających w niedoli. Bez uzacnienia i gotowości do ofiar wzajemnych, społeczność ludzka staje się stadem wypasioném na jatki, lecz nie jednostką z prawem do życia i pracy przy wspólnym kaganku ludzkości zawieszonym w błękitach. Zawspółczesnéj plejady poetów nikt zaiste nie przewyższył Kondratowicza w poczuciu téj wielkiéj prawdy, nikt goręcéj nad niego nie zalecał jéj współbraciom, nikt jéj wytrwaléj nie służył. Więc położcie jego książkę na stoliku obok traktatu o uprawie buraków i działolejni Kruppa. Zobaczycie, że jak opiewane przezeń *Kamienne Bożyszcze*, książka jego „z kamiennéj piersi swéj głębi ciepłą wam iskrę wykrzesze".

Z tych *Poezyj* Kondratowicza przedstawiamy tu jedną kartkę — utwór nazwany przez autora *Śmiercią Słowika.* Wśród kipiącego gwaru miasta, zamknięto śpiewaka gajów nadniemeńskich. Nie miał już tam cienia olszniaku lub brzeziny, coby mu głowę osłonił; nie miał dawnego szmeru strumyka, coby się tocząc po błoni, wtórował mu do pieśni. Zamiast wietrzyka, koła grzmociły po bruku, aż ściany się trzęsły; pan w złoto przybrany, jadąc karocą, kurzem osypywał pieśniarza; zamiast strumyka, tłum płynąc jak woda tętnił i wrzeszczał; piosenkę głuszyła gromada, zawzięcie licząca pieniądze. „Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono, ten śpiewać już musi;" więc śpiewał a śpiewał słowik. Przypominał dawniejsze chwile wesela i swobody, przypominał swój gaik i lube wieczory pod kaliną,—chciał koniecznie przekrzyczeć tętnienie wozu po bruku i wrzawę uliczną tłumów. „Całego słowika ogarnął szał pieśni", aż echem drgała klatka; im boleśniéj cierpiał, tém śpiewał donośniéj, wyczepując ostatek siły. W końcu pęknął od pienia gardziołek słowiczy; „a koła po bruku szyderczo się śmieją, że ptaszka zabiły"...

Oto w niewielu wyrazach przełożony z harmonijnego wiersza na lichą prozę urywek autobiografii poety, mający związek z załączoną ryciną, wystawiającą niepokaźną uliczkę wileńską, gdzie w domu Bobiatyńskich, naprzeciw nieistniejącego już młyna zwanego Królewskim, dogorywał i zakończył ziemski żywot autor *Dęboroga*, *Spowiedzi pana Korsaka* i *Ułasa*. Dziecię ustronnéj wioski poleskiéj, wypielęgowane wśród ciszy pól nadniemeńskich, nieznające innego gwaru prócz chwilowych paroksyzmów jarmarcznych w Nieświeżu i Mirze,—Kondratowicz znaglony okolicznościami, nad któremi nie miejsce się tutaj rozwodzić, przeniósłszy się w r. 1853 do Wilna, zamieszkał w domu Dowmara przy ulicy prowadzącéj do Wilii i dla tego szumnie nazwanéj Portową. Po kilku jednak miesiącach, nie mogąc znieść utrapieńczych męczarni zgiełkliwego życia miejskiego, wziął dzierżawą od Tyszkiewiczów lichy folwarczek Borejkowszczyznę o dwie mile od miasta, i tam obrał mieszkanie. W roku 1857, nie przestając dzierżawić Borejkowszczyzny, zamieszkał znowu w Wilnie na ustronném, zaciszném przedmieściu Popowszczyźnie w domu Gryzera, dziś Krakowskiego, zkąd na zimę przeniósł się w środek miasta do domu Wiszniewskiego przy ulicy Wileńskiéj. Ta powtórna próba oswojenia się ze zgiełkiem miejskim nie była pomyślniejsza od pierwszéj: Kondratowicz na wiosnę znów musiał uciekać do Borejkowszczyzny, ażeby się skupić w sobie i pracować.

W r. 1859, złamany cierpieniami fizycznemi, a jeszcze bardziéj nie mogąc znieść w samotności Borejkowszczyzny zbrodniczą ręką zadanych udręczeń moralnych, musiał się Kondratowicz poddać nieustannéj opiece lekarskiéj, i dla tego mimo chęci zamieszkał znowu w mieście przy najzgiełkliwszéj ulicy Niemieckiéj, w domu przerobionym z niedokończonego kościoła pijarskiego, nazywanym podówczas domem Szulca, dziś przechrzczonym na „Hotel Europejski". Tam to napisał ową okropną epopeję targowania się o kwiczoła między Jaśnie Wielmożnym smakoszem a dzieckiem choréj wyrobnicy, pod tytułem *Zwierzyna*. Tam się zrodziło największe, jakie kiedykolwiek z jego piersi wydobyć się mogło szyderstwo, pod tytułem *Serce, Rozum, Świat* i *Owsianka*. Tam nareszcie powstał wspomniany powyżéj utwór czysto autobiograficzny: *Śmierć Słowika*. Wszakże Kondratowicz podźwignął się był jeszcze, a przekładając nad wrzawę ulicy Niemieckiéj szum wody spadającéj na dziesięć kół młyna Królewskiego i huk dziesięciu kamieni młyńskich, przeniósł się na ustronną uliczkę prowadzącą z ulicy Zamkowéj

do Ogrodu Botanicznego. Miał tam przynajmniéj dużo świeżego powietrza, a mało szwargotu miejskiego. Tam w domu Bobiatyńskich, w pokoiku nie zawsze opalanym w zimie, przy gnębieniu klawiszów przez „sąsiadeczkę“ z za ściany, przygotowywał się do inkrutowin w wiekuistém mieszkaniu. *(d. n.)*

ZDJĘCIE Z KRZYŻA.

Obraz ten w dniu dzisiejszym ma dla nas podwójne znaczenie. Pierwsze i pochłaniające wszelkie inne, jest przypomnienie spełnionéj na Golgocie ofiary za całą przyszłość ludzkości. Drugiem jest przypomnienie pojęć, ich mniejszéj lub większéj czystości i religijnego uniesienia jakie ta stanowcza chwila w odbiciu swem w dziełach sztuki znalazła

Obrazowi który mamy przed sobą jeżeli co zarzucić można to bezwątpienia nie brak zapału religijnego—przeciwnie zapał ten pod wpływem Michała Anioła wrósł w uczniu jego Danielu Ricciarellim do gwałtowności ruchu, do przesady, uderzającéj najbardziéj w postaci Matki Zbawiciela, padającéj w omdlenie na ręce niewiast towarzyszących jéj.

Pismo Święte i najdawniéjsze tradycye mówią iż Matka bolesna stała (stabat mater dolorosa) pod krzyżem... zaprawdę to mężne trwanie w największéj z boleści serca rodzicielki godném téż być mogło jedynie największéj i najświętszéj z matek.

Zdjęcie z krzyża Daniela da Volterra znajdowało się w kościele rzymskim Trinita de Monti od niedawna przeniesione zostało do znajdującéj się tam akademii francuzkiéj

KALECY

Komedya w 3-ch Aktach

przez

Zygmunta Sarneckiego.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 24).

KAMERDYNER

Co takiego?

JÓZEF

Choć pójść i powiesić się.

KAMERDYNER

Eh! żartujesz pan... jabym tam nigdy tego końca... (robi gest) nie próbował... Ale pan na prawdę przerażony... Hej! hej! młodość!... Ja widzisz panie Józefie posiwiałem na służbie ale też za to nic mnie nie dziwi i nic nieprzestrasza.

JÓZEF

Ba! kiedy to nieszczęściem pachnie...

KAMERDYNER

No wyduś już, wyduś, pan z siebie o co rzecz idzie.

JÓZEF

Waryat nam zniknął.

KAMERDYNER.

Co?

JÓZEF

A tak. Powróciwszy od pana, po takiéj miłéj zabawie, ledwie że wdrapałem się jak mogłem do pokoju... szukam, patrzę, przecieram oczy, niema go... mego paltota także... ani mego noża myśliwskiego znaleść nie mogę. Sczezł jak złe... Ot! Boże broń może sobie nim gardło poderżnął i do stawu wskoczył.

KAMERDYNER (zadumany i zmięszany.)

Albo on waryat!...

JÓZEF

Ba!

KAMERDYNER (miarkując się).

Prawda!... Co tu robić?!...

JÓZEF (prawie płacząc)

Niewiem... dali Bóg niewiem... a boję się...

KAMERDYNER (ciągle zmięszany i myślący.)

Musiał się gdzieś schować i śpi... chodźmy go szukać...

JÓZEF

A gdzie?

KAMERDYNER (wychodzi)

Do ogrodu.

JÓZEF.

Kaduk go tam znajdzie.

KAMERDYNER (j. w.)

Ale potrzeba... widzisz ja to robię przez poświęcenie dla pana...

JÓZEF.

O! dziękuję... Bóg zapłać!

KAMERDYNER (n. str.)

Jak nieznajdziemy to ręce umyję od wszystkiego i basta!... Co ja winien... Nic i kwita... Czego (spogląda z pogardą na Józefa) bałwan w nocy do mnie przychodził... (głośno) No, no — niema się jeszcze czego tak martwić! Chodźmy szukać.

(wychodzą drzwiami w głębi).

Scena IV.

HENRYK i RADECKI (wchodzą z lewych drzwi).

RADECKI (siadając).

Pojedziemy?

HENRYK.

Nie (chwila milczenia).

RADECKI.

Całą noc niespałeś

HENRYK (siadając).

Nie.

RADECKI.

I ja zasnąć niemogłem... myślałem o facyatce, o pannie Stefanii i o twoich interesach.

HENRYK (z gorzkim uśmiechem)

O moich interesach.

RADECKI.

Potrzeba energicznie się niemi zająć.

HENRYK.

Po co?

RADECKI.

Po co, pytasz. Słuchaj muszę ci to powiedzieć bo mi cię żal, bo widzę w tobie najstraszliwsze kalectwo, które jednak wyleczyć można i potrzeba. Ty masz zaduże serce do twego organizmu, ciąży ono i przeważa całą twą moralną postać na lewo... dlatego niepewnie stąpasz, chwiejesz się, równowagi utrzymać...niemożesz i upadniesz jeśli cię podtrzymać niezdołam.

HENRYK.

Prędzéj czy późniéj—wszystko mi jedno.

RADECKI.

Nie—tylko potrzeba zapomnieć o wczorajszém nocnem widzeniu, wziąść się do interesów i żyć.

HENRYK.

Ba! za przeszłe życie zapłaciłem majątkiem i rozczarowaniem, na nowe niemam funduszu.

RADECKI.

Mój drogi życie dla każdego jest rzeczą kosztowną, chociaż nie zawsze miłą!... a jednak...

HENRYK.

Widzisz więc i ty podzielasz moje zdanie... Bo jakkolwiek nazywasz mnie sercowym kaleką nie jestem znowu młodym chłopcem, bez doświadczenia... i ja wątpiłem już nieraz i niechciałem bez przyczyny szafować wiarą i miłością!...

RADECKI.

Nawet często musiało ci się to zdarzyć, ale miałeś manię dobroci i bohaterstwa, a sprawdziwszy powszechny egoizm świata, stawiałeś się na piedestale męczeństwa, najprzód przed sobą samym dla miłości własnéj a potem trochę przyznaj. . i dla oka ludzkiego.

HENRYK.

Nie wiem co mówisz... Nierozumiem cię... Umysł mój pomięszany rozmaitością wrażeń. Czuję tylko żem nieszczęśliwy, i że potrzeba panować nad sobą, żeby nie pokazać jak cierpię... Kochałem Stefanię i zdawało mi się żem postępowaniem mojem na jéj miłość zasłużył... Dopóki mogłem starałem się robić dobrze drugim... a mimo to wczorajsze nocne widzenie, ten straszny sen, zabił w mojem sercu miłość i szacunek dla kobiety... a jak spojrzę w około siebie, w całem mem otoczeniu, któremu życzliwości pomoc niosłem, widzę bardzo mało prawdziwych przyjaciół.

RADECKI.

Mało powiadasz?.. Och! żartujesz chyba... Ty ich nie masz wcale.

HENRYK

Może. *(d. c. n.)*

Sprostowania. W numerze 23 Wieńca, na str. 201, szp. 3, wiersz 6 z dołu, zamiast *Cetana*, czytaj *Cztana*.

Na tejże saméj stronnicy i szpalcie wiersz 5—6 z dołu, zamiast *Grzymalisty*, czytaj *Grzymality*.

Str. 202, szpalta 1, wiersz 6 z dołu, po wyrazie *kuchenne*, dodaj *tesaki*.

Str. 203, szpalta 1, wiersz 5 od góry, zamiast *Per*, czytaj *Pez*.

Treść: O Ospie i szczepieniu. — Herod-Baba, powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.) — Korrespondencya z okolicy Słuczy. — Przez Tatry (c. d.) — Literatura zagraniczna, Kaszewskiego (dokończenie). — Przegląd Muzyczny. — Dwa ostatnie schronienia Kondratowicza. — Zdjęcie z krzyża. — Kalecy, komedya w trzech aktach Sarneckiego (c. d.) — **Ryciny:** Mieszkanie Kondratowicza przy młynie królewskim w Wilnie. — Zdjęcie z krzyża. — Wala. — Przybycie do Szmeksu. —

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 16 (28) Марта 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.